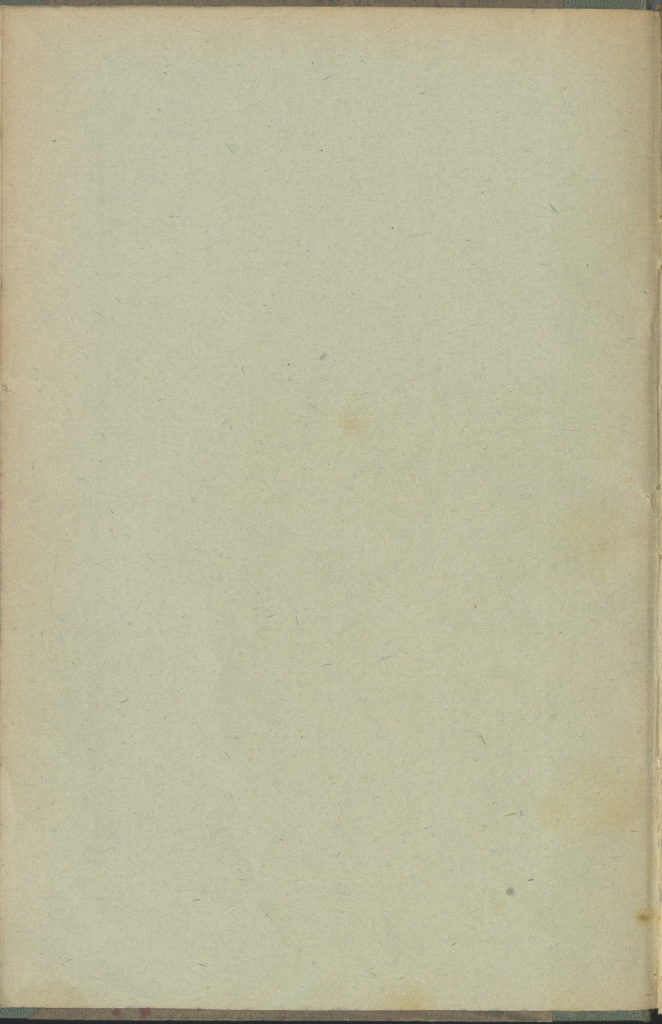


+



MOJA WOJACZKA

---

WYDAWNICTWA I KOMISA

= KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA WE LWOWIE. =

	K. h.
Bronikowski. Jan III. Sobieski i dwór jego. 2 tomy . . . . .	8'40
Chodzkiewicz K. W. Pamiętnik włóczęgi. Powieść. 2 tomy . . . . .	7'—
Dzieduszycki W. Historia malarstwa we Włoszech. Z 20 rycinami . . . . .	16'—
Dr. Antoni J. Opowiadania historyczne. Serya VII.	6'40
— Nowe opowiadania historyczne: Pod krzyżem; Losy kresowego miasteczka; Wartabiet; Zemsta Kozacza; Porwanie króla; Niedoszłe legiony . . . . .	6'—
— Ks. St. Chołoniewski: Opis podróży kijowskiej w r. 1840 odbytej	3'20
Głabiński St. Dr. Ekonomika społeczna. Tom. 1. . . . .	8'—
Gubrynowicz Dr. Br. Kazimierz Brodziński . . . . .	1'20
— Romans w Polsce za czasów Stanisława Augusta . . . . .	4'—
Hajota. Sni mi się. Nowele . . . . .	3'60
Jaworski Fr. Lwowskie znaki biblioteczne. Z 29 rycinami . . . . .	5'—
Kaczkowski Z. Mój pamiętnik z lat 1833—1843 . . . . .	4'80
Koźmian Ant. Z. Lysistrata, czyli wojna o pokój. Komedia w 4 akt. podług Aristofanesa . . . . .	3'60
Kraśniński Zygmunt. Listy. 3 tomy. I. Listy do K. Gaszyńskiego. II. do A. Soltana. III. Do J. Słowackiego, R. Żaluskiego, E. Jaroszyńskiego, Kajetana, Andrzeja i Stanisława Koźmianów, B. Trentowskiego. Każdy tom . . . . .	6'40
— Pisma. Wydanie z przedmową St. hr. Tarnowskiego. 4 tomy	14'40
Kubala L. Dr. Jerzy Ossoliński. 2 tomy . . . . .	15'—
Lenartowicz T. Pisma pośmiertne. 4 części. 2 tomy . . . . .	7'20
Lityński M. Rys dziejów sztuki starożytnej. Z rycinami . . . . .	3'—
— 4 tygodnie we Włoszech. Przewodnik podróży z planami. Opr.	5'—
Łoś W. Intrygantka. Powieść . . . . .	4'—
Łoziński Wład. Nowe opowiadania JMC. Pana Wita Narwoja . . . . .	6'40
Malecki A. Dr. Grochowy wieniec, czyli Mazury w Krakowskiem . . . . .	2'60
— Juliusz Słowacki, jego życie i dzieła. Wydanie trzecie, powiększone przez Dra B. Gubrynowicza. 3 tomy . . . . .	9'20
Mickiewicz A. Pisma. Pierwsze wydanie zupełne i poprawne. 4 tomy	9'20
W oprawie płóciennej . . . . .	14'40
Ostatnia wojewodzina Wileńska (Ks. Radziwiłłowa) . . . . .	8'40
Pamiętnika Jana Chryz. Paska. Wydane przez Dra Br. Gubrynowicza	5'—
Peplowski-Schnür St. Obrazy z przeszłości Galicyi i Krakowa. 2 tomy	9'20
— Polacy i Węgrzy. Opowieść r. 1848 . . . . .	5'—
Rojan K. Szczęście. Powieść. 2 tomy . . . . .	5'60
— Dusze artystyczne. Powieść . . . . .	3'60
Rolle M. Z przeszłości. Okręg Rawski. Starostwo Barskie do r. 1779	5'20
— Ateny Wotyńskie. Szkice z dziejów oświaty w Polsce . . . . .	8'40
— Z minionych stuleci . . . . .	7'—
Romanowski M. Pisma. 4 tomy . . . . .	14'40
Sapieha X. P. Podróż na Wschód Azji. Z rycinami . . . . .	10'—
Sierawskiego Napol. Pamiętnik z czasów W. Ks. Konstantego . . . . .	—'—
Struś. Ludzie i wypadki z r. 1861—1865. 2 tomy . . . . .	9'—
Witczyński Alb. Nowe fotografie społeczne. 2 tomy . . . . .	7'20
— Wycieczka na Krzyżne . . . . .	4'20
Wybicki J. Pamiętniki . . . . .	3'60
Wspomnienia Wołyniaka . . . . .	3'60
Zaleski Dr. Korespondencya J. Bohdana Zaleskiego. Tomy: III i IV po	4'—
— Toż samo. Tom V. . . . .	6'—
Zwilkoński. Pieprz. Humoreski, Monologi i dyalogi . . . . .	2'40

# MOJA WOJACZKA

1825—1831.

Z NOTATEK, SZKICÓW I WSPOMNIENÍ

**JERZEGO RECZYŃSKIEGO**

urodzonego w r. 1803 w województwie Augustowskim, kapita-  
nana 4-go pułku piechoty polskiej, kawalera krzyża *virtuti mili-*  
*tari*, profesora fortyfikacji, inżynierii i języków w Fayle-College  
w Londonderry w Irlandyi

UŁOŻYŁ

WŁADYSŁAW CHODŹKIEWICZ

LWÓW

☉ NAKŁADEM KSIĘGARNI ☉  
GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA

1908.

*Imięk*

19.778



GZ

943.3

94(438).0741 "1830": 355.48 : 929(438) "18" Reczyński Jerzy



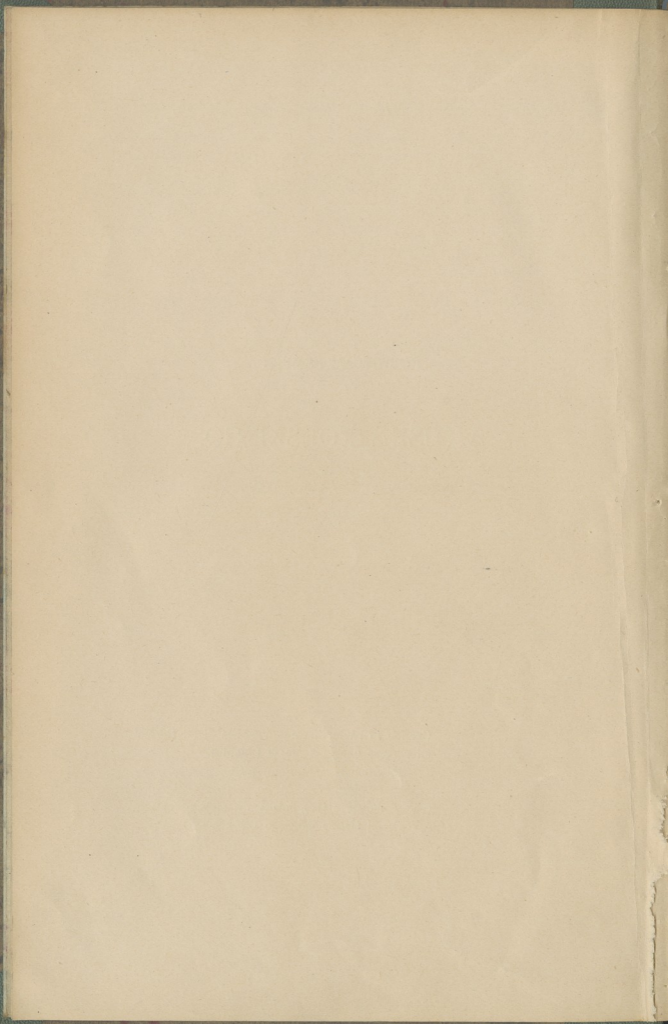
POŚWIĘCAM PAMIĘCI

WOJSKA POLSKIEGO.

Cuando io hablo di estos Vazones di mi Nacion  
mi paresse que io hablo di Gigantes.

*P. Juan de Mariana, Historia general de  
España T. 5.*

(Kiedy mówię o tych bohaterach mojego Narodu  
zdaje mi się, że mówię o Olbrzymach).



## ROZDZIAŁ I.

Zkąd pochodzę i gdzie się urodziłem? — Wychowanie i nauki. — Przyjazd do Warszawy. — Karyera cywilna. — Wstąpienie do wojska. — Przyjęcie w pałacu Brylowskim przez w. księcia. — Pułk 4-ty piechoty. — Pierwszy mundur. — Sierżant Sopoćko. — Ćwiczenia wojskowe. — Pierwszy krok w służbie i pierwsze spotkanie się z w. księciem. — Wejście do obozu. — Szkoła pływaków.

Rodziłem się 23. kwietnia 1805 r. w Ludwinowie. Pochodzę ze starej i dobrej szlacheckiej rodziny, herbu Rogala. Ze starej, bo się może wylegitymować aż do r. 1109, za czasów Bolesława Krzywoustego; dobrej, bośmy zawsze poczcziwie służyli Ojczyźnie. Ja jestem ostatni potomek po mieczu tej rodziny, a kiedy samotny, nie mając żadnej przyjaznej ręki, by mi zamknęła powieki, oddam Bogu ducha na ziemi wygnania, na mnie się skończy stary ród Ręczyńskich.

Babka moja była z domu Gałęcka. Przez nią Ręczyńscy byli w pokrewieństwie z generałem Gałęckim, który, jak wiadomo, na czele dragonii, wykonał ową sławną i decydującą szarżę pod Wiedniem w 1683 roku; szarżę, która nam zapewniła zwycięstwo dnia tego. Babka moja była jego córką; żyła lat 80 i zostawiła nam dwie relikwie po ojcu; te do ostatnich czasów były w posiadaniu siostr moich: sylwetka

jej brata starszego, który, chociaż nie był wojskowym, znajdował się wszakże przy ojcu w czasie wyprawy wiedeńskiej i pieczętka srebrna z herbem Gałeczkich. Szczególny kształt tej pieczętki, jej zewnętrzne rzeźby i znaki długiej służby, świadczyły wyraźnie o jej wieku i autentyczności, a maleńkie uszko u góry dowodziło, iż była noszona przy zegarku. Pomędzy innymi pamiątkami, pozostałymi po generale, z czasów Jana III., były jeszcze: mundury, hełm, miecz i pancerz jego. Wszystko to było w posiadaniu ojca mojego aż do dni onych, kiedy wojska moskiewskie w ostatnich latach panowania Stanisława Augusta, zalewając kraj cały, rozbrajały nawet prywatnych obywateli, zabierając i grabiąc, co było po domach — odtąd nie wróciły już do nas.

Przywiązanie do ojczystego tronu było tradycyjne w naszej rodzinie. Wiele mi pokrewnych osób odwiedzało często ostatniego króla, w czasie jego dwuletniego pobytu w Grodnie. Podskarbi Dziekoński z żoną, rodzoną siostrą mojego ojca; księżę-biskup Giedroń z Jurhorka, wuj mojej babki, nawiedzali króla; a jeśli inni z rodziny wstrzymali się od tego kroku, pochodziło to z zatargów religijnych. Znałem sam jeszcze wiele innych osób, które tam bywały u króla, jakoto: Brzostowskich, Puzynów, Korągów, Tyszkiewiczów i t. d. i zdaje mi się, że dotąd czuję czuły uścisk tych rąk przyjacielskich, że słyszę ich opowiadania o osobie, charakterze i uprzejmości ostatniego króla polskiego. Zdaje mi się, jak gdyby ciepło rąk tego monarchy zostało jeszcze na rękach tych, którzy go odwiedzali wówczas i przeszło z tych rąk szlachetnych do mojej piersi, zostawiając tam błogie wrażenie, jakby szacunku i pamięci dla nieszczęśliwego króla...

Pierwsze nauki pobierałem w Lublinie na pensyi, gdzie ukończywszy kursa, przeznaczone dla kształcącej się tam młodzieży, opuściłem ten zakład i udałem się do Warszawy dla szukania kariery cywilnej lub wojskowej. Przyjechałem do stolicy przed samem Bożem Narodzeniem w 1824 r. Dzięki stosunkom mojej rodziny, znalazłem rychło sposobność wejścia do biura rządowego komisji przychodów i skarbu, mieszczącej się wówczas w Pałacu Mostowskich. Dla łatwiejszego postępu w służbie, brałem wówczas prywatne lekcye: matematyki, miernictwa i rachunków od znanego uczonego Pijara, profesora Dukicza. Ztąd poszło, że w krótkim bardzo czasie potrafiłem odznaczyć się w służbie rządowej, gdzie oceniono stosownie mój prawdziwy talent do matematyki i miernictwa; a chociaż byłem małym człowiekiem, mającym zaledwie lat dwadzieścia, polecono mi wykonać kilka ważnych robót, z czego się wywiązałem, mogę powiedzieć, z chlubą, z prawdziwą znajomością rzeczy.

Przecież, pomimo to powodzenie, moja dusza i serce tęskniły do innego celu. A jak to powiadają, że „natura wilka ciągnie do lasu“, mnie też rodzinna żyłka ciągnęła do wojaczki. Nie mogąc przemódz tej tajemnej chęci, zwierzyłem się z niej przyjacielowi mojej rodziny, kasztelanowi W., mieszkającemu w Warszawie. Przyjął on uprzejmie moje zwierzenie się w tym względzie i zaraz mi przyrzekł poznać mnie z pułkownikiem konnych strzelców gwardyi, który stał wówczas w koszarach Mirowskich.

Zacny przyjaciel dotrzymał mi danego słowa, bo kiedy poszedłem w kilka dni później do pułkownika, i skoro mu powiedziałem, jak się nazywam, rzekł:

— A to waćpan jesteś z familii Ręczyńskich, bardzo rad go poznać, i cóż waćpana sprowadza do mnie?

Zdziwiłem się, zkąd on mógł wiedzieć o mojej rodzinie, później dopiero się dowiedziałem, jakie to były dawne jego stosunki z ojcem moim.

— Życzeniem mojem jest — powiedziałem — wstąpić do wojska i zaciągnąć się do jazdy.

— To być nie może — odpowiedział pułkownik z uśmiechem. — Koń by cię zabił. Jesteś małego wzrostu i delikatnej, jak widzę kompleksyi, twoje wychowanie nie usposobiło cię do opatrywania konia i do ciężkiej dość służby w stajniach. Wejdz lepiej do piechoty, to jest moja rada; to ci będzie bardziej przystępne i odpowiednie. Jutro na placu Saskim pomówię z generałem brygady, z pułkownikiem 4-go pułku i z podpułkownikiem 2-go batalionu — to są moi przyjaciele... Przyjdź do mnie jutro po paradzie, a dowiesz się z pewnością, co będzie postanowiono względem ciebie.

Nazajutrz, po ukończonej paradzie, stawilem się w kwaterze zacnego pułkownika.

— Sprawa twoja — mówi mi — jest na dobrej drodze. Pojutrze na pokojach w pałacu Bryłowskiem przedstawię cię wielkiemu księciu i jestem pewien, że cię z łatwością przeznaczy do jednego z pułków piechoty. Bądź więc pojutrze na Saskim placu przed paradą, a ja cię przedstawię wyższym oficerom, o których ci już mówiłem.

W dniu oznaczonym, gdym przyszedł na plac Saski, zastałem już tam zebranych: pułkownika Bogusławskiego z jego kolegami i z generałem brygady B. Po kilku uprzejmych słowach, zawołano natychmiast starszego sierżanta z placu i generał B. polecił mu, aby mnie zaprowadził na pokoje, gdzie miałem być przedstawiony wielkiemu księciu, i aby tam pozostał przy mnie aż do czasu, kiedy wielki książę rzecz mego przyjęcia zdecyduje.

W pałacu było już mnóstwo oficerów wszelkiej broni i wszelkiego stopnia. Pokoje były pełne osób cywilnych i wojskowych. Mundury polskie, rosyjskie i cudzoziemskie mieszały się razem i wszystko to błyszczało od złota, srebra i orderów. Sala, w której mnie postawiono w rzędzie z innymi osobami, miała, jak wszystkie inne sale pałacu, podłogę wywoskowaną, jak lustro, a po środku było przejście, wysłane płótnem. W około na ścianach wisiały obrazy malowane olejno, przedstawiające wojsko polskie. Każda dywizya ze swymi pułkami, uszykowanyimi w kolumny batalionowe, jak na placu parady. Dobosze, trębacze, muzyka i oficerowie sztabu na przodzie, oficerowie niższej rangi, sierżanci i żołnierze, każdy na swoim miejscu. W tyle za kolumnami przedstawiony był obóz z rozpiętymi namiotami, przedzielonymi drzewami i barakami oficerów, a dalej jeszcze kuchnie, szopy, stajnie i t. p. Wszystko w naturalnym, wojskowym porządku. Inne znowu obrazy przedstawiały jazdę, inne artyleryę, raketników, batalion saperów, pontony, batalion weteranów, furgony pułkowe, apteki, kuźnie, ambulanse. Jednem słowem, całą armię polską. Były to, ile pamiętam, piękne malowidła, wykonane doskonale przez bardzo biegłych artystów. Ale oprócz tych obrazów, zawieszonych na ścianach, nie było w tych ogromnych salach ani mebli, ani pieców, ani żadnej rzeczy, które jego są. W każdej sali dwa otwarte kominki wznosiły się naprzeciw okien, a zapalony w nich ogień ogromnym płomieniem ogrzewał je dostatecznie, zwłaszcza, że powietrze było już znacznie ciepłem.

Działo się to 11. maja 1825 r.. O godzinie dziesiątej przybył wielki książę i zaraz rozpoczęło się prezentowanie mu z kolei, w każdej sali zebranych tam osób. Przyszła też kolej i na mnie. Stałem w

pośrodku długiego szeregu i czekałem z bijącym sercem na to, co mnie spotkać miało. Nareszcie wielki książę, z listą zebranych osób w ręku, stanął przedemną i odcwał się po francusku do generała B.:

— Ręczyński, to Litwin, a więc oddać go do gwardyi wołyńskiej, tam będzie miał prędki awans.

Tu pułkownik Bogusławski, dowódca 4-go pułku liniowego piechoty, stojący przy mnie po prawej stronie, bojąc się, aby mu kwiatek litewski nie był z rąk wyrwany, odpowiedział z pospiechem:

— Tak jest, wasza cesarzewiczowska mość, jest to Litwin z Augustowskiego i wybrał pułk...

— A, to on Polak? — rzekł wielki książę po rosyjsku — a więc niech idzie do moich filibustyerów (żartując zamiast filizyerów).

I znów coś mówił ciszej, tak, że nie mogłem dośłyszeć, do generała B., swego faworyta i do pułkownika Bogusławskiego, a odchodząc, uszczypnął mnie swoim zwyczajem za twarz, co oznaczało wielki fawor z jego strony, i śmiejąc się, powiedział do pułkownika Bogusławskiego:

— Tęgi chłopiec!

Po obejrzeniu i odprawieniu wszystkich w tej drugiej sali, wielki książę przeszedł do sali trzeciej z z porządku, gdzie były posyłki codzienne ze wszystkich pułków garnizonu warszawskiego; a było tych pułków: 5 moskiewskich, t. j.: 2 pułki gwardyi pieszej, litewski i wołyński; 3 pułki gwardyi konnej: kiryserów podolskich, huzarów grodzieńskich i ułanów pod nazwą konnopolców. Polskich pułków było trzy i pół, t. j.: pułk gwardyi grenadyerów, 4-ty pułk piechoty liniowej i batalion saperów; a z jazdy pułk gwardyi strzelców konnych.

Posyłki, przedstawiane codziennie, były: podporucznik, podoficer i żołnierz z każdego pułku, w ca-



łym pakunku i z bronią, którą, gdy wielki książę przechodził, żołnierz mu prezentował, a oficer salutował pałaszem. Czasami, na rozkaz wielkiego księcia, podoficerowie i żołnierze otwierali przed nim pakunek i rozwijali płaszcze z nad tornistra, co była rzecz dosyć skomplikowana. Ale żołnierz nasz był tak wyćwiczony, że w pięć minut wszystko było złożone nazad do tornistra i płaszczy zwinięty napowrót w wałec, 18 cali długi, a 6 do 7 cali gruby, był już przytworzony trzema paskami do sprządek na wierzchu tornistra. Nikt inny nie zrobiłby tego i w pół godziny.

Gdy posyłki zlustrowano, przyszedł do mnie niejaki kapitan Majewski z 5-tej kompanii, 2-go batalionu, a z nim oficer posyłkowy naszego pułku i starszy sierżant. Zeszli oni wraz ze mną na dziedziniec i dali polecenie starszemu sierżantowi, abym został w jego stancyi i pod jego opieką, a nie pomiędzy żołnierzami na sali i ażeby miał wszelki respekt dla mnie, jako dla kadeta. Sierżant starszy był też Litwin z Augustowskiego, niejaki p. Sopoćko; przyjął mnie więc poczcziwie i serdecznie. A był to dzień ważny w mem życiu, dzień zmiany nie tylko ubioru cywilnego na wojskowy, ale i zmiany ducha! Przywdziałem mundur z miłością i szczęściem, nosiłem go z chlubą i godnością i aż do mego przybycia do Anglii, nigdy go potem nie zmienił.

Po mojem wejściu do koszar Sapieżyńskich, przy ulicy Zakroczymskiej, najpierwszą było rzeczą rozstać się z litewską czamarką!... Dzieło to Lejbka Czarnego z Wyłkowiszek, było tak misternie wyhaftowane kamelorowemi taśmami, że głowa najbieglejszego geometry, nie byłaby w stanie odkryć ani początku, ani końca tego istnego labiryntu szamerowania. — Jakikolwiek mógł być żal mój przy tem rozsta-

niu, nie było rady, i jak wąż na wiosnę, musiałem zmienić dawną moją skórę. Za czamarką poszły i świetne pukle włosów — w pięć minut nie zostało ani śladu augustowskiej czupryny. Za to, ku niezmiernej uciecze p. Sopoćki, wystąpiłem, jak lalka, w granatowym mundurze z żółtymi wyłogami. Jasne, cynowe guziki z numerem czwartym, świeciły, jak gwiazdy, i zdawały się mówić: tyś czwartak do śmierci! a numer 2-gi, wyszyty na ramiennikach, zwanych powszechnie dragonkami, pokazywał, że należałem do sławnej 2-giej dywizji piechoty. Szczelnie opięte szarawary i długie do wpół jabłka na kolanach sięgające czarne, obcisłe kamasze z dwunastu cynowemi guziczkami, kompletowały ten strój żołnierski, uwieńczony dość junacko granatową furażerką z żółtym lampasem, pochyloną troszeczkę ku prawemu uchu.

Kiedy tak wystrojony wszedłem do drugiej izby, gdzie p. sierżant Sopoćko miał swoje *sanctum sanctorium*, stary żołnierz aż w ręce splasnął z radości na ten widok; bo jak się sam wyraził: „ten ubiór wojskowy dziwnie mi był do twarzy“.

W chwili właśnie, gdyśmy opatrywali moje ubranie i rozmawiali o potrzebie umundurowania się własnym moim kosztem, bo kadet — jak mi się p. Sopoćko zwierzył konfidencyjonalnie — który się nie ubiera za własne pieniądze, a ciągnie z kasy pułkowej, źle jest uważany zwykle i awans otrzymuje trudniejszy; wszedł do stancyi niejaki Giecel, kupiec sukna i różnych rzeczy wojskowych z Franciszkańskiej ulicy. Musiał on nas widzieć przechodzących mimo jego okien, z powrotem do koszar i domyślił się łatwo, że ów cywilis w czamarze, idący w towarzystwie sierżanta, musiał być nowo zaciągnięty kadet. Pan feldfelbel Sopoćko, to jest starszy sierżant, który znał dobrze owego żyda, rzekł mu:

— No i cóż mi powiesz nowego, panie Giecel?

— Nu, może panu feldfeblowi potrzeba będzie nowego, paradnego munduru?

— Nowego munduru? a to z kąd znowu i dla czego?

— Mówią, że imperator ma przyjechać, a z tą będą rozdane rozmaite nagrody i pan feldfebel może awansować — dodał z przyjemnym uśmiechem starozakonny. — Mam teraz pełno świeżych i pięknych towarów. A może i pan kadecik — mówił, spoglądając na mnie — potrzebuje czego, to ja zaraz przyniosę i bardzo tanio ustąpię i dam kredyt choćby na rok cały?...

— No, słuchaj-no żydzie! ty masz węż dobry — powiedział pan Sopoćko. — Właśnie ten kadet był dziś na pokojach; przyjęty do naszego pułku, musi mieć mundur świeży, to się rozumie, a twoje pieniądze i bez kredytu są pewne.

W pół godziny po tej przyjemnej rozmowie wytrawnego feldfebla z obrotnym handlarzem, sukno i wszystkie rzeczy były już w stancyi pana Sapoćki. Majster, krawiec kompanii, z nożycami w ręku i z miarą, jak tasiemka na szyi, był gotów. Nie tracąc więc czasu, wziął miarę, zapisał do książki, odkroił, ile było potrzeba sukna: granatowego i paliowego na mundur, białego na spodnie, czarnego na kamasze; potem wybrał: guziki, podszewkę i galonik srebrny do kołnierza i mankietów, a Giecel zabrawszy resztę i kilkadziesiąt złotych w srebrze, z wielkimi ukłonami pociągnął do sklepu.

Nazajutrz zaraz rozpocząłem musztrę, lecz jeszcze bez broni. Tu mój opiekun, pan Sopoćko, wystąpił z całą powagą surowego naczelnika: oczy w prawo — oczy w lewo — oczy wprost — krok podłużny — obrót na prawo — obrót na lewo i t. d. W tydzień

umiałem dobrze maszerować, a w końcu miesiąca cały kurs robienia bronią posiadałem expedyte. Słowem, postępowałem tak szybko, że już 12. czerwca, wraz z drugim kadetem, starszym odemnie w służbie o parę miesięcy, byłem wysłany, w całym pakunku i z bronią, na planton do obozu. (Plantoni albo wytyczni). Obowiązkiem ich było, kiedy pułk przyjdzie do obozu, stać na linii, na prawem skrzydle 5-go i 6-go plutonu, tak, aby każdy dowódca kompanii wiedział, gdzie ma się zatrzymać bez myłki. Tożsamość obozu była bowiem tak wielką, iż nie było żadnej różnicy w namiotach jednej kompanii od drugiej.

Mój giefreyter, to jest stary żołnierz, był to niejaki Sopieja; chociaż go feldfelbel dla żartu nazywał Sapiehą, mówiąc: mieszkamy w jego domu, a herb jego i dotąd błyszczący na froncie! I rzeczywiście nasze koszary, był to dawniejszy pałac Sapieżyński. Pocziwy Sapieja ubrał mnie tedy, jak matka dziecko, tak, że mi nic a nic nie brakowało — dodać tu muszę jednak, że ów giefreyter nie robił tego z miłości czysto macierzyńskiej dla mnie, ale za dobrą i brzęczącą monetę; płatny był bowiem z mojej kieszeni sowicie i regularnie co dni dziesięć — to się nazywało w wojsku naszym „decadą“.

Otóż o godzinie 10 z rana, dnia tego, mieliśmy wyjść razem z moim kolegą do obozu. Nazywał się on Brudnicki, ale dostał przydomek „Geś“, z powodu nierozgarnienia i rozlazłości. Mój Brudnicki zamiast się stawić na czas w koszarach, był gdzieś tam w mieście na pożegnaniu u swoich znajomych; ja zaś, przed mojem wstąpieniem do pułku, postanowiłem być poświęcić wszelkie rozrywki i uciechy służbie i nigdy w niczem nie chybić. Gdy więc wybiła 10 godzina, nie czekając na mego kolegę, wziąłem broń, a wiedząc drogę do obozu, wyszedłem sam, pełen dumy,

iż jestem w czynnej służbie, chociaż dotąd nie byłem jeszcze w szeregu.

Właśnie, gdym się zbliżał do rogatki Powązkowskiej, może o pół mili od koszar, dogonił mnie jakiś żołnierz z gwardyi grenadyerów polskich, bez pakunku, z pałaszem tylko i bez broni, i wszedł ze mną w rozmowę. A że dzień był parny, żołnierz ten miał mundur rozpięty, jam go jednak przez grzeczność nie pytał o powód tego uchybienia przepisom służby, a wolałem tylko wypytywać się go o zwyczaje obozowe. Tak rozmawiając, przeszliśmy roгатkę. Z prawej jej strony był odwach żołnierzy, będących na straży, a z lewej był dom w samym rogu cmentarza Powązkowskiego, oddzielonego od drogi wysokim murem. Drzwi środkowe tego domu były otwarte.

W chwili właśnie, gdyśmy przeszli roгатkę, dzwonek odwachu dał znak: do broni! Warta wystąpiła, a mój towarzysz podróży z niezmiernym przestrachem krzyknął:

— Wielki książę! Co tu robić?

Spojrzałem w stronę wzroku przeleknionego żołnierza i spostrzegłem zbliżający się ku nam powóz, zaprzężony czterema końmi w poręcz. Nie wiedząc, jak się mam zachować przy spotkaniu z wielkim księciem, będąc pod bronią, zapytałem spiesźnie grenadyera: „Co ja mam robić?” — a on mi na to: „Stań obok drogi i sprezentuj broń!”. A sam rzucił się pędem w otwarte drzwi domu na lewo i zniknął mi z oczu.

Powóz wielkiego księcia w tejże samej chwili zatrzymał się przedemną i z drugiego powozu, jadącego z tyłu, wyskoczył spiesźnie oficer w stosowanym kapeluszu, z białemi i czerwonymi piórami, rogami obróconymi na ramiona i wpadł na mnie, krzy-  
cząc:

— Na ramię broń!

Wówczas wielki książę powiedział:

— Żołnierz pod bronią i w pakunku nie powinien prezentować broni nikomu, nawet cesarzowi, gdyby spotkał. — Ale widząc, że bardzo młody, zapytał: — Jak dawno służysz?

Bez trwogi odpowiedziałem:

— Cztery tygodnie, wasza cesarzewiczowska mość!

— A kto cię nauczył broń prezentować, idąc w pakunku?

— Żołnierz, co wszedł do tego oto domu — odpowiedziałem.

Książę widział dobrze zmykającego grenadyera, zawołał też na oficera, który był przy mnie:

— Trębicki! Obacz w tym domu, co to za żołnierz?

Trębicki pobiegł do domu, ale już tam żołnierza nie zastał; jak strzała bowiem przeleciał przez sień i wyszedł tylnymi drzwiami na cmentarz i był już może o jakie ćwierć mili. Trębicki wrócił tedy z próżnymi rękami, a mnie wielki książę kazał iść do obozu.

Sam tedy ruszyłem dalej drogą, która wiodła do obozu gwardyi grenadyerów polskich i dwóch pułków gwardyi rosyjskiej wielkiego księcia. Przy końcu cmentarza było znowu kilka domów i droga rozchodziła się w dwie strony; jedna na prawo, a druga trochę dalej na lewo. Nie będąc pewny, której się mam trzymać, zapytałem przechodzących ludzi: którą mam iść drogą do obozu 2-giej dywizyi? Powiedziano mi, że droga, idąca na prawo, zaprowadzi mnie w prostej linii do celu mojej podróży. Poszedłem tedy we wskazanej mi dyrekcyi i bardzo szczęśliwie, minąwszy obozy pułków 2-giej i 7-mej, trafiłem na obóz naszego 4-go pułku.

Namioty już były rozpięte w całej dywizyi, służba obozowa krzątała się na wszystkie strony, przygotowując wszystko do przyjęcia nazajutrz pułku, który miał przybyć o godzinie 1. z południa, zaraz po rewii całej armii za Parysowem. Wszedłem tedy do szopy 5 kompanii i znalazłem tam żołnierza, zajętego uporządkowaniem stancyi dla feldfebla. Miał on już polecenie od zacnego p. Sopoćki, aby, skoro przyjdziemy do obozu, pokarm był dla nas gotowy. Ja będąc tego zmęczony upałem i ciężarem tornistra, lederwerków, ładownicy, broni i kaszkieta, który po raz pierwszy miałem na głowie, potrzebowałem przede wszystkim wypoczynku, co widząc ten poczciwy wiarus, zarządzający szopą i kuchnią, zdjął mi ciężar z pleców, przyniósł zimnej wody ze studni, abym się umył, i wskazał mi, gdzie był mój tapczan.

Był to widocznie szczególny fawor ze strony feldfebla, iż pozwolił mi stać w szopie, a nie pod namiotem. Tapczan zaś kazałem zrobić za moje pieniądze cieśli kompanii, a do tego dodawszy matę ze słomy, flanelową kołdrę i pęczek słomy na poduszkę, byłem najszcześliwszy z żołnierzy. Zanim się umyłem i zmieniłem bieliznę, mój obiad już stał przedemną. Był to obiad czysto obozowy: zupa z kartofli, pół funta wybornej wołowiny i kawałek razowego chleba. Sprzątnąwszy to gładko, rzuciłem się z rozkoszą na mój tapczan, i w pięć minut zasnąłem głęboko.

Nazajutrz, 13. czerwca, byłem już na mojem stanowisku plantona, i to był początek mojej służby wojskowej. Pułk nasz przyszedł o swoim czasie i zaraz rozpoczął się ruch w całym obozie, który miał trwać bez przerwy aż do 13. września, t. j. do czasu naszego powrotu do koszar.

Może we dwie godziny po przybyciu pułku do obozu, przyszedł do mnie podoficer służbowy z roz-

kazem, abym się udał natychmiast do pułkownika. Jakież było moje zdziwienie, kiedy, stawiając się przed nim, usłyszałem następane zapytanie:

— Co tam miałeś z wielkim księciem wczoraj na drodze?

Opowiedziałem mu wszystko, jak było, nie obwijając w bawelnę, śmiał się pułkownik i wszyscy tam przytomni z mojej służbistości i kazał mi iść do szopy, mówiąc:

— Idź, ale pamiętaj, że kiedy idąc w pakunku, spotkasz raz drugi wielkiego księcia, nie prezentuj mu broni!

Na tem się skończyło pierwsze moje i ostatnie spotkanie z wielkim księciem, którego później widywał tylko z daleka.

We trzy miesiące po naszym powrocie z obozu, byłem podany do awansu, ale ustąpiłem na żądanie niejakiego Olszewskiego, kadeta, z powodu, iż on był bez awansu od lat pięciu; ale pomimo to pełniłem służbę podoficera z płacą kadeta do roku 1826. — W tymże roku uczyłem się pływać w szkole wojskowej pływaków w Potoku, tuż przy Marymoncie, a takie były moje w tym względzie zdolności i usposobienie naturalne, że w sześć tygodni otrzymałem patent, jako skończony pływak i od roku 1827 do 1830 byłem instruktorem w tejże szkole.

Pułkownik Vallentini - Doterif, Włoch rodem, oficer z dawnych legionów polskich, miał tę szkołę pod swym zarządem. Zaczny to był i kochany od wszystkich człowiek. Naukę pływania otrzymaliśmy od Austryaków. Było ich trzech, przysłanych do Warszawy z Tryestu: Krieg, porucznik z węgierskiej piechoty, Perfol, podoficer z tejże piechoty i nakoniec Laco, Węgier, kapral. W początku oni to byli naszymi instruktorami, aleśmy wkrótce ich przeszli w nauce. Po



dwu latach wrócili oni do Austrii z podwyższeniem rangi; co do mnie, w sześć tygodni zdałem egzamin bardzo trudny do 7-mej klasy pływaków i otrzymałem patent na skończonego pływaka.

Zostałem więc mianowany instruktorem ludzi, wybranych z 4-go pułku, do których przyłączono następnie żołnierzy z batalionów naukowych i dzieci żołnierskich, z pułków litewskiej gwardyi, przysłanych na naukę do Warszawy. Było to bardzo uciążliwe dla nas, gdyż od godziny 6-tej z rana aż do 4-tej popołudniu byliśmy wszyscy zajęci bez przerwy; chociaż było nas instruktorów dwunastu podoficerów i dwunastu żołnierzy, dodanych nam do pomocy, nawał uczących się był przecież tak wielki, iż, jak mówiłem, ośm godzin bezustannej pracy nie były dostateczne i często musieliśmy pół godziny dłużej zostawać na służbie. Żem się odznaczał pilnością i nauką, podany zostałem do srebrnego feldcecha i do szkoły podchorążych w 1830 roku, co miało wkrótce nastąpić niezawodnie. A że pomimo tego byłem jeszcze instruktorem bicia się na bagnety klasy podoficerów 4-go pułku i instruktorem strzelców (albo, jak nazywano ich wówczas, fizylerów) w moim batalionie, wybrano mnie wraz z innym podoficerem, którego nazwiska dziś już nie pamiętam i 24 żołnierzami na instruktorów gwardyi w Petersburgu. Porucznik Prokopowicz miał być naszym dowódcą.

Jak się te wszystkie projekta i nadzieje rozwiały; jak wszystko to przeszło niepowrotnie — a ja, z kosturą w rękę na wygnanie poszedłem... Czytelnik zobaczy na następnych kartach.

## ROZDZIAŁ II.

Przeddzień rewolucyi 1830 r. — Nowy kolega w pułku, Stanisław R. — Przyjaźń i poświęcenie. — Szpiegostwo, szerzące się w Warszawie. — Przylepianie po ulicach paszkwilów. — Podejrzenia wojskowe. — Poszukiwania w koszarach. — Generał Rożnicki i podpułkownik Reszka. — Awanturka w kawiarni Kamińskiej. — Moje życie w koszarach. — Dzień 29. listopada. — Obluz warty na Saskim placu. — Ostatnia parada 4-go pułku. — Warta przy rogatce Belwederskiej i co tam zaszło tej pamiętnej nocy. — Ostatnia przejażdżka wielkiego księcia. — Mój sąd o nim. — Alarm. — Adjutanci wielkiego księcia: Gresser i Bezobrazow. — Daremne pokuszanie się na moja załogę. — Przejazd Bezobrazowa.

Ja jestem jeden z tych, rzadkich dziś ludzi, którzy słyszeli najpierwsze strzały szkoły podchorążych w Łazienkach i w pałacu Belwederskim. Ja mogę wyjaśnić dowodnie: kto dał znać do Góry i do Koźienic o wybuchu rewolucyi w Warszawie, o potrzebie wysłania artyleryi na pomoc Moskałom, będącym w stolicy i o innych szczegółach, jako świadek naoczny. Byłem albowiem wówczas na warcie tuż przy pałacu Belwederskim, na rogatce tegoż nazwiska, od 29. listopada do 3. grudnia i utrzymałem się w tej pozycji, mając tylko 14 żołnierzy i sto czterdzieści ostrych ładunków.

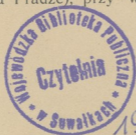
Ale nim przystąpię do szczegółowego opisu tych wypadków, muszę tu wspomnieć o pewnych osobi-

stych okolicznościach, które poprzedziły wybuch tej pamiętnej nocy 29. listopada.

Na dziewięć dni przed wybuchem rewolucji w Warszawie, to jest 20. listopada 1830 r., drugi batalion 4-go pułku piechoty trzymał wartę wszystkich poczt w stolicy. A że to był batalion pułku liniowego, złożony z czterech tylko kompanij, nie był więc dostateczny do objęcia wszystkich wart w Warszawie, co dni dziewięć. Dodane nam zatem zostały do pomocy, jak również batalionowi saperów, kompanie grenadyerskie wszystkich pułków liniowych. Wszystkie te oddziały pełniły w rzeczywistości służbę gwardyi, na którą miał być zmieniony 4-ty pułk piechoty liniowej, jak mówiono, za przyjazdem do Warszawy cesarza, oczekiwanego w 1831 r.

Tymczasem były nam dodane do pomocy, jak mówiłem, dwie kompanie 8-go pułku, należącego z nami, do teje samej brygady. Generałem komenderującym tą brygadą był Blumer. Pułkownikiem 4-go pułku, Bogusławski, a 8-go Skrzynecki, który wszakże nie mieszkał w Warszawie. Oprócz generała Blumera, żaden też inny z generałów połowych nie był upoważniony mieszkać w stolicy.

20. listopada byłem na warcie oficerskiej przy ulicy Furmańskiej, złożonej z czterdziestu kilku ludzi, trzech podoficerów i dobosza. Dowódcą był porucznik Łozowski. Dzień był bardzo piękny, ciepły, jakby wiosenny i noc bardzo pogodna. Wieczorem, po odebraniu parolu, jeden z nas trzech podoficerów prosił mnie, abym go chwilowo zastąpił, bo miał potrzebę, na kilka minut, w furaju, wyjść do miasta. — Jam się zgodził na to i ułożyliśmy, że w chwili przybycia na odwach dyżurnego oficera (który był zwykle oficerem sztabu pułku, który trzymał wartę w Warszawie i na Pradze), przy wystąpieniu do broni, ja



19.778

zajmę jego miejsce, a na moje postawię giefreytera. Stało się tak, jakieśmy ułożyli. Wkrótce przyjechał major dyżurny, niejaki Szpotański. Lampy już były zapalone przy ulicach i przy odwachu. Wystąpiliśmy do broni. Major obejrzał wartę i znalazłszy wszystko w porządku, odjechał dalej.

Przypomniałem tę okoliczność, bo kolega, którego zastąpił, nie bez pewnego niebezpieczeństwa dla mnie, był to Staś R., przybyły tegoż roku na podoficera do naszego pułku z korpusu kadetów w Kaliszu, z pozwoleniem noszenia na pałaszu srebrnego feldcecha, co mu dawało rangę podchorążego, z płacą zwyczajnego podoficera. Byłem jego przyjacielem i tę przyjaźń zachowałem na zawsze.

Nazajutrz, gdyśmy wrócili z warty, ja byłem posadzony do aresztu, na warcie policyjnej, z powodu, iż było doniesiono generałowi Roźnieckiemu, przez jego szpiegów, że ja zeszłej nocy opuściłem tajemnie wartę i byłem w mieście na zabawie. Gdy mnie wezwano do indagacyi, zdziwienie moje było wielkie i gniew niepospolity, że tę potwarz rzucono fałszywie na mnie. Szpiegi nie byli w błędzie co do czynu, ale co do osoby tylko popełnili kłamstwo.

Widząc, jak rzeczy stoją, zaręczyłem pułkownikowi i wszystkim oficerom, pod słowem honoru, co było prawdą istotną, żem ani kroku jednego nie zrobił, prócz z odwachu do kołków i z kołków do odwachu. Dyżurny major mnie widział osobiście w czasie swej wizyty na odwachu, komendant warty honorem zaręczył, żem się nigdzie nie oddalił, i cała warta dała na to poświadczenie.

Na tem się wszystko skończyło, ale serce mi płonęło gniewem, że wskutek fałszywego doniesienia szpiegów, cała moja karyera mogła być rzuconą w błoto. Bo w razie udowodnienia mi tego zarzutu,

degradacya była niechybną, a może nawet i zesłanie na kilka miesięcy do fortecy do Modlina. O moim koledze, ma się rozumieć, anim słowa nie pisań, i to ocaliło Stanisława R., a ja, oprócz gniewu, nic więcej nie doznałem.

Szpiegi wszakże Roźnieckiego nie zaprzestali swoich doniesień. Tegoż dnia kilku innych podoficerów było aresztowanych, jako posadzonych o przylepianie po rogach ulic drukowanych kartek, zawierających nader obelżywe paszkwile na ducha żołnierzy i na charakter niektórych oficerów naszego pułku. Zarzucano tam, że zbytńia łaska dla nas wielkiego księcia zmieniła pułk 4-ty na partyzantów moskiewskich, a rząd, żeśmy nieprzyjaciółmi kraju. Te przymówki ubodły mocno żołnierzy i oficerów, przez co tajemni agitatorowie osiągnęli cel pożądaný; bo 4-ty pułk, chcąc zmyć tę potwarz, podwoił patryotyczne swe uczucia, to też trudno jest opisać, jaki był zapał i duch żołnierzy, kiedy nadeszła pora działania. Wówczas to podpułkownik Reszko sam chodził po salach koszar i kazał każdej kompanii występować podług listy apelowej i przemawiał do żołnierzy, obiecując im: „że oprócz nagrody, wyznaczonej od wielkiego księcia, on sam ze swojej kieszeni dołoży sto złotych temu, ktoby wykrył tych, którzy przylepiali paszkwile po ulicach“. Ale sto złotych zostały w jego kieszeni, bo nikt się nie znalazł tak podły, aby ten czyn haniebny wykonał.

Agitacya przecież była ciągła. Czuć było wyraźnie, że jakieś zarzewie tlało pod tym niby spokojnym popiołem. Szpiegi snuli się wszędzie, jak muchy nad wrzącem mlekiem. Podwajano czujność; najmniej wyraz, na wiatr puszczony, dolatywał do uszu policyi. Aresztowania cywilnych i wojskowych w Warszawie były nieustanne.

W wojsku alarmowano nas ciągle. W koszarach po razy kilka, niby dla przekonania się, jak szybko pułk stanie do broni, gdy alarm jest dany? robiono próby. Gotowość nasza w tej mierze była niesłychana zawsze. Dziesięć minut albowiem czasu było dosyć, aby żołnierze, wywołani z łóżek, stanęli z bronią w rękę na placu musztry. Przeradzki, Kozicki, Łaski, Borzędzki, rozdali nam ładunki ostre, pod pozorem, że jesteśmy na stopie wojennej, że na wiosnę mieliśmy iść przeciw Francuzom, jako wielka straż przednia (grande garde) litewskiej armii. Dano każdemu po dziesięć ładunków i skałki ostre do broni. Ładunki kazano obszyć w płótno i trzymać je gotowe zawsze w patrontaszach i nie tykać bez wyraźnego rozkazu pod karą wielkiej odpowiedzialności.

Aby dać wyobrażenie o szpiegostwie, jakiego byli przedmiotem, tak cywilni, jak i wojskowi w Warszawie w roku 1830, przytoczę tu jedno jeszcze zdarzenie, którego byłem świadkiem na dwa lub trzy dni przed 29. listopada. Dnia tego poszedłem na szklanke piwa łomiankowskiego do niejkiej Kamińskiej, która trzymała bilard na rogu ulicy Mostowej i ulicy Freta. Tam jeden z naszych podoficerów śpiewał swoim kolegom i przyjaciołom pieśń, świeżo napisaną przez Odyńca, czy przez Zienkowicza, nie pamiętam dziś dobrze, kto był właściwie jej autorem. Nikogo tam z obcych nie było, a ja po raz pierwszy wówczas słyszałem ten śpiew, zaczynający się od następných wierszy:

„Kto powiedział, że Moskale  
Są to bracia nas Lechitów,  
Temu zaraz w łeb wypalę...” itd.

Ledwie nasz kolega odśpiewał jedną, czy dwie strofy, aż tu nagle drzwi się otwarły i wchodzi nie-

jaki Miaskowski z gwardyi wołyńskiej. Na jego widok śpiew ustał, ale on na schodach, dosłyszawszy wyraz „Kościszków“, woła odrazu, zwracając się do nas:

— No, powtórzcie wasz śpiew Kościszki? I wypalę!

Kiedy nikt z nas nie chciał mu tego powtórzyć, nastąpiła kłótnia, i on wychodząc:

— Ja was zmuszę powtórzyć! — zawołał z gniewem — dam znać policji!

Ale ma się rozumieć, że my nie czekaliśmy policji, a kiedy ta przyszła, już tam nikogo u Kamińskiej nie było.

Nazajutrz komisarz policji z urzędnikami przyszedł do naszych koszar w asystencji tego nędznego donosiciela, ale ten nie mógł poznać żadnego z tych, co tam byli na bilardzie, i tak się na niczem skończyła cała awantura.

Nadszedł nareszcie pamiętny dzień 29. listopada 1830 r. Ja, jak wielu bardzo z moich kolegów i towarzyszy, nie wiedziałem o niczem i nie miałem najmniejszego wyobrażenia o tem, co się gotowało, i o żadnych związkach i zamachach nie słyszałem. Oddany zawsze sam sobie, cały czas wolny od służby poświęcałem rysunkom do haftów dla sióstr i kochanek oficerów; a tego miałem nieraz tak dużo, że ledwie mogłem wystarczyć, bo mój rysunek równał się prawie sztychowi, a kompozycje moje deseni do damskich woalów, roboty tasiemkowej, były tak wykwintne, że do dziś dnia może zdobią i osłaniają piękną twarz niejednej Warszawianki, nie wiedzącej o tem, że to są roboty starego żołnierza 4-go pułku liniowego.

Wyrabiałem przytem różne piękne rzeczy z pestek wiśniowych, z bursztynu, z perłowej macicy, albo grałem w szachy z moim wielkim i drogim przyjacielem. Ten, dla słabości zdrowia, nie mogąc wytrzymać twardej

żołnierskiej służby, podał się do dymisyi. Kosztowało go to nie mało czasu i więcej, niż trzy tysiące złotych, nim ją wy dostał i nim zastępcę na resztę lat służby wynalazł. Zresztą czytywałem wiele, utwory Mickiewicza, Niemcewicza, Bernatowicza itd. zajmowały mnie niezmiernie — i to mnie trzymało w koszarach. Nie miałem bowiem potrzeby szukać rozrywek ani po kawiarniach, ani po bilardach, jak inni; obiad mój przynosił przez długi czas gefreiter z traktyerni Strzyżiwicza przy ulicy Freta. Nie miałem więc żadnej a żadnej potrzeby włóczyć się po mieście. Jednakże wychodziłem czasami na parę godzin do pięknego ogrodu Krasińskich, lub do Saskiego ogrodu, a czasem tylko do Łazienek do podchorążych.

Dnia 29. listopada, jak mówiłem, byliśmy komenderowani na paradę na Saskim placu. Batalion nasz uszykowany stał frontem ku stronie placu, zkąd Axamitowski, jako komendant placu, zwykł był wyjeżdżać na koniu. Dzień był pochmurny, wiatr suchy, zimny wiał z północy i wschodu, i drobny śnieżek zaczynał pruszyć. Zwykle komendant, odebrawszy rozkaz wielkiego księcia, dawał rozkaz doboszom, trębaczom, a razem muzyce, w te słowa: „Bij zbór!“ Ale dnia tego wielki książę nie przyjechał wcale, tylko przybył adjutant jego, generał Trębicki, z uwiadomieniem, że parady nie będzie, i dał rozkaz wziąć płaszcze na opaszki, i wprost z placu ciągnąć na warty. W jednym momencie piękna linia granatów, żółtych wyłogów i białych pasów, zmieniła się na masę szarych płaszczów, kryjących żołnierzy po kostki. Bębny wszystkich oddziałów uderzyły marsz rozwodowy, każdy oddział poszedł w swoją stronę i plac Saski pozostał pusty i głuchy — po raz to ostatni oglądałem pułk 4-ty na swoim źwirze...



Mnie przypadło w tym dniu trzymać wartę na rogate, tuż przy Belwederze. A była to warta oficerska, lecz powierzono mi ją dnia tego, bo już byłem na liście podchorążych, i że wiedziano dobrze w pułku, że błędu nie popełnię żadnego. Podpisawszy książkę odwachową, żem wszystko w porządku odebrał od podoficera grenadyerów gwardyi litewskiej; odprowadziłem ich do koszar, a sam kazałem wstawić w kółki broń, oddziału 4-go pułku.

Po zajęciu odwachu około godziny 1-szej z południa, posłałem gefrejtera do szkoły podchorążych, prosząc tam moich pułkowych przyjaciół, ażeby mi przysłali jakie książki do czytania, a wreszcie i obiad, jeżeli ten będzie pod ręką. Podczas kiedy gefreyter był w szkole, przyniesiono obiad dla warty z pułku... Zdaje mi się, że to byli żołnierze z 1-go batalionu, którzy go przynieśli, gdyż warty były tak liczne, jak już wspomniałem, że nasz batalion był prawie co do nogi na służbie dnia tego... Żołnierze ci żadnych nam nowin nie przynieśli z miasta, oprócz, że cały batalion był zebrany w salach koszar dla inspekcji zdrowia, i że dnia tego nikomu nie było wolno wydaleć się z koszar, gdyż się spodziewano przybycia i alarmu wielkiego księcia. To dla nas nie było żadną nowiną, bo od dni dziesięciu mieliśmy też same pogłoski i częste bardzo wystąpienia wśród nocy za przybyciem którego z generałów księcia, lub jakiej innej figury wojskowej.

Przyszedł i mój gefreyter z książkami i z obiadem ze szkoły. Rad byłem z książek, a nierównie więcej z obiadu i z wiadomości, że dwóch, czy trzech z moich przyjaciół podchorążych miało przyjść mnie odwiedzić dnia tego. Ale nie przyszli, a ja sądziłem, że coś ważnego musiało ich zatrzymać, kiedy danego dobrowolnie słowa dotrzymać nie mogli.

O wpół do piątej odesłałem do szkoły naczynie obiadowe i książki. Poczem gefreyter otrzymał z głównej warty, tuż przy wodotrysku przed pałacem Łazienkowskim zwyczajny parol dla warty i świece, potrzebne na noc całą do odwachu. Lamppuczerzy zapalili latarnie przed Belwederem, na odwachu i na rogatce. Kazałem zaraz spuścić roгатkę pod klamkę, ale klucz pozostał w roгатce. Szyldwach postawiony został przed roгатką, tuż przy szyldhauzie, zwyczajnym dla szyldwachów w całym kraju. Ogień się palił na kominie i było ciepło w izbie, chociaż wiatr był ostry, zimowy i gęstym śniegiem sypał do okien, obróconych w stronę parkanu ogrodu Belwederskiego, w którym były drzwi, wiodące z odwachu, sypaną drożyną do wzgórza, na którym wznosił się pałac.

Cała warta była w odwachu, mając kaszkiety na głowie, łuszczyki podpięte pod brodą i rękawice na rękach, by być w pogotowiu na odgłos dzwonka do wystąpienia do broni. Wielki książę dnia tego około 2 godziny przejeżdżał przez roгатkę, udając się ku stronie królikarni, a po jakimś czasie powrócił przez roгатki Mokotowskie. Ja wystąpiłem do broni, gdy dzwonek dał znak przyjazdu wielkiego księcia, sprezentowano broń, dobosz odbił marsz zwyczajny, on podniósłszy rękę do kapelusza, odsalutował wartę, minął roгатki — i to był raz ostatni, kiedym go widział.

Ja nigdy nie miałem zlej woli ku niemu, choć to był Moskal kapryśny, okrutny i mściwy, i despota pierwszego rzędu; ale że pojął za żonę szlachciankę polską, pannę Grudzińską, którą kreowano później księżną Łowicką, że przez miłość ku polskiej szlachciance przeniósł jej osobę nad koronę carów i nad panowanie nad największym państwem w Europie — jestto oznaką, iż miał serce i uczucia szlachetne. Tam,

gdzie zależało od niego, gdzie jego zausznicy, pochlebcy i zagraniczne oszusty nie mieli przystępu, i gdzie car nie miał nad nim komendy, tam miał on serce i okazywał się ludzkim. Lecz gdzie tylko miał rozkazy wyższe do wykonania, tam stawał się prostym kapralem i był, jakby szalony.

O wpół do 8. wieczorem ja i moi żołnierze, siedząc w ławkach odwachu, zaczynaliśmy drzemać, niektórzy miększej natury zasypiali naprawdę. Ja siedziałem w pierwszej ławce, przedzielonej poręczą od drugiej, i tak dalej każde siedzenie żołnierskie było oddzielone poręczą, ażeby żaden, oprócz siedzenia, nie miał więcej miejsca do odpoczynku. Było to nader przykre, a tak uciążliwe, iż nieraz miotła odwachowa, położona pod głowę, zdawała się być poduszką z puchów łabędzich. Na zydlu, z 10 cali szerokim i ze 6 stóp długim z rękawicą z prawej ręki pod skronią, nieraz człowiek zasypiał w najlepsze. Lecz ja tej nocy i tej przyjemności nie pozwoliłem sobie; chociaż to mogłem uczynić, nie zdejmując nawet kaszkieta z mej głowy.

Okolo 8. godziny dzwonek pod bronią dał znak alarmu. Wyszedł gefreyter i wrócił za chwilę, mówiąc: że sztydwach mnie potrzebuje. Wyszedłem natychmiast, aż on przełękniiony powiada mi, że słyszał z wiatrem jakiś rozruch w Łazienkach. Nadstawiam ucho, słuchamy obaj, ale oprócz szumu gałęzi drzew w ogrodzie, nic więcej nie słyhać. Po chwili jednak rozległ się odgłos, jakby głuchych, dalekich strzałów. Co słysząc żołnierz, utrzymywał, że to muszą być podchorążowie, strzelający pod cień do wron; ale ja po ciężarze huku poznałem, że to nie były strzały śrutem nabitej broni, ale ostrymi ładunkami.

Wtem strzały ucichły. Żaden krzyk, żadne wołanie nie doleciało do nas, a przecież jakieś tajemne

uczucie tak mnie ubodło w serce, że ból ten niewytłumaczony do dziś dnia czuję. Chociaż ten ból nie jest cielesny, leży on przecież gdzieś tam w głębi mojego serca i nic go dotąd ukoić nie mogło... po tylu, a tylu latach! Chyba może powrót do Ojczyzny — choćby na jedną chwilę wyrwać by go potrafił!

Ażeby nie alarmować moich ludzi napróżno: „To nie są strzały do wron — powiedziałem półgłosem do szyldwacha — znam ja się na tem i wiem, co to jest ogień urywkowy ręcznej broni pieszej!“ I rzeczywiście, przy strzelaniu do tarczy w obozach słyszałem nieraz strzały naszych żołnierzy z kompanii i znowu boczne strzały innych kompanij o kilkanaście kroków z prawej i z lewej strony. Więc poznałem odrazu, że to był ogień ręcznej broni...

Nie wahając się więc dalej: „Dzwoń do broni!“ — powiedziałem szyldwachowi.

Jak tylko znak był dzwonkiem dany, warta natychmiast wybiegła do kołków.

— „Podnieś broń! — skomenderowałem. — Na ramię broń! Naprzód z kołków!“ — Poczem żołnierzowi, który rozwodził szyldwachy, kazałem wystąpić z frontu, pójść do roгатki, zamknąć na klucz spuszczone szlagbaum, ściągnąć żołnierza z posterunku i klucz przynieść do odwachu. Kazałem również ściągnąć wartę z ogrodu, zostawiłem tylko straż przy stajniach wielkiego księcia, którą zmieniałem, jak zwykle, co dwie godziny. Wszystko to wykonane zostało natychmiast.

Kiedy już miałem pod bronią wszystkich moich ludzi, prócz jednego, obejrzałem skalki i kazałem broń nabić. Zapomniałem w tej chwili, że ładunki były zaszyte i któryś z żołnierzy odezwał się: „Ładunki zaszyte, dobyć ich nie mogę!“. Ja sięgnąłem do mojej ładownicy i wyjąłem moje dziesięć ładunków, a wie-

dząc, że żaden z żołnierzy nie miał noża do rozprucia płótna, dobyłem pałasza, który był prawie jak nóż ostry, rozciąłem obszycie i rozdałem ładunki pomiędzy dziesięciu żołnierzy. A jak tylko broń została nabita:

— Spuść broń! — zakomenderowałem — i do odwachu, a nie do kołków, lewo w tył, marsz!

To wykonawszy, weszliśmy do odwachu i zaraz kazałem ławkami, tj. zydlami, miotłą odwachową i czem było można zatarasować okno od Belwederu i okno od strony bram, poczem usadowiłem żołnierzy porządkiem, jak stali pod bronią, z rozkazem, iż każdy ma trzymać broń przy sobie, opartą kolbą o podłogę, a środkiem o prawą dłoń żołnierza, tak, aby w każdym wypadku mógł ją natychmiast pochwycić i na komendę moją, lecz nie prędzej, strzelać, gdzie tego wypadnie potrzeba.

Znowu dzwonek dał znak dla mnie. Wyszedłem i usłyszałem strzały, już w palacu Belwederskim. Nie było ich więcej, jak sześć, czy siedm; żadnego rozruchu nie było słycać i cisza znowu nastąpiła. Pozostałem więc na zewnątrz i czas jakiś nie wchodziłem do odwachu. Wtem przyleciał jakiś oficer z piechoty\*) drogą, wiodącą przez ogród belwederski, wprost przed kołki i wrzasnął:

— Komandir siudy!

Ja postąpiłem ku niemu, pytając:

— Czto przykażicie?

— A hdie twoi żołdaty?

— Na hauptwachtie — odpowiedziałem.

— Sobieri ich sej czas i stupajtie w Belweder.

Ja mu na to:

---

\*) Był to adjutant przyboczny wielkiego księcia, nazwiskiem, zdaje mi się, Gresser; został on ranny, gdy pędził konno do koszar wołyńskich, i kozak z rogatki, jadący za nim został zabity.

— Mnie nie lizia etoho zdielat' bez prykazania dyżurnoho generała; mnie tudy idti nie lizia.

— Nu, ja tiebie prykazuju, stupaj! — wrzeszczy on do mnie. — Wielikij kniaź wiedel, cztoby ty so w siem kurantom sejeże czas so mnoju otprawił sia w Belwieder.

Ja znowu do niego: Nie mogę! — Wtem znowu strzały słyszeć się dały od strony koszar Radziwiłłowskich. Mój oficer się obejrzał dokoła i rzuciwszy mi: Nu, my tiebia nauczym nie moğu! — i poleciał nazad, cały drżący, czy ze strachu, czy od zimna.

Po krótkiej chwili usłyszałem klupanie podków konia, pędzącego w pełnym galopie od strony Belwederu wprost ku rogate. Aż oto pokazał się i jeździec, oklep na koniu, bez kapelusza na głowie i bez pałasza przy boku. Strażnik roгатki, weteran, spał już od dawna i kozak, dodany mu do pomocy przy tej rogate, jako posyłka, spał także gdzieś w stajniach przy koniu. Ów jeździec był w surducie wojskowym, ze szlifami rangi kapitana. Kiedy się zbliżył do roгатki, krzyknął:

— Czasowej, otwori szlagbaum!

Śnieg prószył ciągle, ale nie gęsty, jemu się zdało, że szylldwach był w szylldhauzie, podjechał więc ku niemu, ale nie widząc go tam, zsiadł z konia i sam chciał otworzyć rogate, lecz że ta była na klucz zamknięta, nie mógł dać rady. Tymczasem wiatr przenikliwy ze śniegiem trudził go nie mało, ale ogień zapału, czy przestachu, który w nim płonął, nie dał mu czuć ani tego, że nie miał czapki, ani kapelusza na głowie. Zresztą poświęcenie jego było rzeczywiście bohaterskie w tej chwili.

Nie widząc nikogo, coby mu szlagbaum otworzył, wziął konia za cugle i chciał go pod rogate podprowadzić, lecz że koń był rosły, nie mógł tego wyko-

nać. Jam na to wszystko patrzył w milczeniu z pod dzwonka, żołnierz stał przy mnie, nie śmiejąc rzec słowa.

Nakoniec po wielu trudach przybyły spostrzegł szyldwacha pod bronią. — „Nu czasowej! — krzyknął — otpieraj szlagbaum!“ — Żołnierz mu odpowiedział: „Ja klucza nie mam“. — Wtem, gdy on głośno do szyldwacha sobaczyć zaczął — wyszedł nakoniec i weteran ze swojej stancyi, i słysząc kogoś mówiącego przy roгатce, a nie wiedząc, że roгатka była zamknięta, poszedł do niej. Gdy jeździec spostrzegł weterana, krzyknął zaraz: — „No, weteranie, otwieraj szlagbaum!“ — Weteran chciał to uczynić, ale widząc, że na klucz zamknięta, przybiegł pod odwach, a spostrzegłszy mnie, powiedział, aby roгатkę otworzyć.

— Tego nie zrobię — odrzekłem. — Słyszałem strzały ręcznej broni od strony Łazienek, Belwederu i od strony Warszawy. Rozkaz cesarski jest, aby w takim razie nie przepuszczać nikogo przez roгатkę, bez wyraźnego rozkazu dyżurnego generała; za złamanie tego rozkazu jabyłm poszedł na kilka lat może do fortecy. Zresztą, nie wiem, kto jest ów jeździec bez czapki, bez pałasza, w rozpiętym surducie?

— To jest adjutant wielkiego księcia!\*)

— Niech mi to sam powie — odpowiedziałem — i wytłumaczy, z czyjego rozkazu jedzie tak późno?

Była to już godzina 10. w nocy, a blisko pół godziny już było, jak on stał przed roгатką. Słyszac to, co mówiłem do weterana, podjechał bliżej do odwachu:

---

\*) Musiał to być Bezobrazow, przybywający z Alei, gdzie Konstanty sam ustawiał swoich kirasyerów rosyjskich, postawszy oddział piechoty polskiej pod Belweder.

— Jam adjutant wielkiego księcia — mówi po rosyjsku Bezobrazow — jadę z rozkazem, kaź, proszę, otworzyć szlagbaum.

Nie widząc innej rady, wszedłem do odwachu i kazałem starszemu żołnierzowi wziąć klucz i broń, jako podkomendny, za lewą rękę i otworzyć roгатkę. Za roгатką były trzy drogi: jedna wprost od roгатki szosą wiodła gdzieś ku Wiśle — pierwszy tu raz trzymając wartę, nie wiedziałem tego, że ta droga właśnie prowadziła do Góry i do Skierniewic; druga droga szła do Mokotowa i do królikarni; trzecia do Czerniakowa.

Nie wiedziałem, którą drogą adjutant wielkiego księcia pojedzie, zresztą nie było to moim obowiązkiem pytać się kogo: gdzie i po co jedzie? Weteran był na to. On podług wszelkiej reguły klucz od roгатki mógł wziąć za mojem pozwoleniem do swojej stancyi. Szyldwach był strażą roгатki i klucza, a ja byłem komendantem szyldwacha.

Trzymając się ściśle rozkazów dziennych wielkiego księcia, i gdybym był wiedział w owej chwili o tem, co zaszło w Belwederze, mogłem nie puścić Bezobrazowa; ale będąc w zupełnej niewiadomości, zdałem odpowiedzialność na weterana. Zresztą on i przelękniony kozak, który nadbiegł i dwóch jeszcze inwalidów, potwierdzili mi stanowczo, że to był Bezobrazow, adjutant wielkiego księcia; puściłem go tedy. Wówczas on wsiadł napowrót na nieosiodłanego konia i ruszył w galop bitą drogą do Góry, a ja wszedłem do odwachu ogrzać się nieco.

---



### ROZDZIAŁ III.

Moja niewiadomość o gotującym się wybuchu. — Powody ku temu. Moja pozycja w pułku. — Podpułkownik Reszka. — Pierwsze wystrzały w Łazienkach i w Belwederze. — Oddział kirasyerów przed roгатką. — Przyjęcie. — Raport weterana. — Pułk huzarów grodzieńskich i jego starcie się przy Wiejskiej kawie z podchorążymi. — 30. listopada. — Ściąganie wojska przez wielkiego księcia. — Przybycie artylerji. — Oddział 6-go pułku pieszego, przysłany z obozu wielkiego księcia. — Odprawa przybyłych. — Rabunek kasy.

Ażeby zrozumieć należycie wszystkie wypadki tej nocy, trzeba było znajdować się w Warszawie, być ich naocznym świadkiem i brać udział w ogólnem życiu stolicy naszej. Zapewne, że były nieukontentowania i powody do nich, ale gdzież ich nie ma? W jakimże to kraju i pod jakim rządem ten ferment społeczny nie daje się czuć mniej więcej? Ale od tych symptomatów sporadycznych zawieruchy ulicznej do rewolucji i do powstania narodowego, każdy wie dobrze, że jest tak daleko, jak od ziemi do nieba.

Przyznam się, że co do mnie, nie przypuszczałem nigdy, nawet w najgłębszej tajni mej myśli, aby w owej chwili mogło coś podobnego nastąpić. A że moje przekonanie musiało być przekonaniem niezmiernej większości mieszkańców Warszawy, dowodzi tego ta okoliczność — wiadoma dzisiaj powszechnie — że wybuch nocy 29. listopada, wykonany przez młodzież

ze szkoły podchorążych, był istotnem zdziwieniem, nawet dla ludzi, zalecających się największym i najgołętszym patryotyzmem.

Jak już mówiłem wyżej, ja nie wiedziałem wcale o niczem, co się działo tej nocy, obok mnie przecież, bo w Belwederze i w Łazienkach. A widząc rozmaite dziwne poruszenia, myślałem, że to był może wielki alarm, którym nas ciągle straszono ze strony wielkiego księcia. Wszyscy podchorążowie wiedzieli dobrze o tem, że ja byłem na warcie przy rógatce Belwederskiej z 15 ludźmi, mając przeszło 140 ładunków ostrych. Nic mi oni przecie nie wspomnieli o tem, co się gotowało u nich. Bali się mnie oni może, wiedząc dobrze o tem, że miałem wielki wpływ nawet na srogiego podpułkownika Reszkę. Jeżeli gdzie była jaka zadzierka na podoficerów, ja byłem zawsze wybierany do mówienia w ich imieniu i sprawie, czy to do pułkownika, czy to do podpułkownika i zawsze otrzymywałem pożądaný skutek.

Przytoczę tu, co się zdarzyło już po dniu 3. grudnia. Gdyśmy weszli do koszar 4. grudnia, byłem na warcie oficerskiej w prochowni. Była tam mowa o tem: że podpułkownik Reszka, z powodu, że nie był czynnym podczas trzech pierwszych dni powstania, nie śmie wracać do batalionu, bojąc się, aby który z żołnierzy, których on przedtem ukarał, nie ważył się na jego życie. Gdyśmy wrócili do koszar, oficerowie mnie ciszką prosili, ażebym przemówił do żołnierzy za podpułkownikiem Reszką, i aby nie szukano na nim zemsty. — Przyrzekłem to uczynić. — Podpułkownik był tuż w koszarach, i zanim ja miałem czas przemówić, niejaki Kasprzyk, żołnierz z piątej kompanii, klupnął z szeregu, gdyśmy naboje z broni wykrecali. Szczęściem nie spaliło mu z panewki i podpułkownik Reszka ocalał. A kiedy potem przemó-

wielem do żołnierzy krótko i serdecznie, trafiłem zaraz do ich serca; przyjęli go nazad i nigdy mu potem nic złego żaden nie wyrządził.

Może też być, że w Łazienkach w pierwszej chwili, jako o nieobecny, zapomniano o mnie; bo zresztą wiem, że oni mnie wszyscy kochali, chociaż jam nigdy nikomu z nich żadnej poufałości z sobą nie pozwalał. Dumny z mego dawnego, szlacheckiego rodu, a więcej może z moich wzorowych postępów, nigdy nie grałem w kochanków, bo one były zgubą dla wielu.

Nie wiedząc zatem o niczem, co się działo, brałem na siebie niezmierną odpowiedzialność, nie ulegając ślepo rozkazowi wielkiego księcia. Miałem przed sobą jego rozkazy dzienne, iż nikt z warty sam zejść nie może do czasu formalnego obluzu, ani też postępować w sposób, który nie był przepisany regulaminem. A więc nie wiedząc nic o wybuchu rewolucji, trzymałem się ściśle tego, co zdawało mi się być koniecznym i dlatego w pierwszej chwili nie chciałem puścić Bezobrazowa, i gdybym był wiedział, że artyleria moskiewska była w Górze, w Skierniewicach i w Kozienicach, nie byłbym go puścił, ale przytrzymał pod strażą, jako przestępcę.

Po godzinie jedenastej w nocy usłyszeliśmy znowu wystrzały rotowe ręcznej broni i kilka strzałów armatnich. Nie było więcej żadnej wątpliwości, była to majka! W kilka minut potem naprzód szelest jakiś, potem brzęk pałaszy i tentent koni dał się słyszeć od strony Belwederu i dążył ku rogate. Wkrótce pluton kirasyerów podolskich stanął frontem we dwa szeregi przed odwachem. Konie chrapały i parskały, jakby zmęczone biegiem pod górę i dowódca oddziału chrapliwym i nieprzyjemnym głosem wrzasnął coś do sztyd-wacha.

Wówczas wystąpiłem cokolwiek naprzód, ale zawsze z bronią w rękę i spytałem go:

— Czego żąda?

On po moskiewsku do mnie:

— Ruszaj natychmiast z całym koraułem do Belwederu!

Ja mu na to:

— Za czym rozkazem dajesz mi waćpan tę komendę, ażebym opuścił posterunek, powierzony mi w imię najwyższej władzy! Ja ztąd nie ruszę — powiadam — aż do obluzu warty...

On prawi swoje, srożąc się:

— Wielki książę kazał, abyś szedł natychmiast do Belwederu!

— Ja tu jestem w imieniu panującego króla i ztąd się krokiem nie ruszę.

— My ciebie weźmiem! — wrzeszczy do mnie Moskał.

A ja do niego:

— Ja się wziąć nie dam; mam broń nabitą, będę do was strzelał, jeżeli choć jeden z was zsiądzie z konia. Moja warta w odwachu da ognia za pierwszym rozkazem, jeżeli najmniejszy gwałt zechcecie wykonać!

Ta zimna mowa z mej strony ochłodziła zapal rycerski Moskala. A widząc, że nic ze mną nie wskóra, krzyknął do swego plutonu: Na lewo krugom! — Spiął konia ostrogami i dalej nazad galopem w górę do Belwederu.

Tymczasem w Warszawie wystrzały szły coraz gęstsze, i z każdym powiewem wiatru dochodził nas szmer tłumu, zalewającego ulice, i śnieg coraz gęstszy padał.

Mój gefreyter, którego przed godziną wysłałem do Łazienek, aby się wywiedział, co się tam działo, wró-

cił i zdał mi następny raport: Doszedł on aż do szkoły podchorążych, ale tam panowała jak najgłębsza cisza i nikogo już w niej nie zastał, nawet z niefrontowych, jakoto: kucharzy i innej służby. Nakoniec, przypadkiem natknął się na jednego z weteranów, który też uchodził gdzieś do skrytki; i ten mu powiedział: że szkoła podchorążych atakowała koszary ułanów Markowa, huzarów i kirasyerów i popędziła, jak wicher przez most do Ujazdowa — i dodał, że więcej nic nie wie...

Otóż gefreyter, wracając przez ogród, (śnieg już skrzypiał pod nogami), widzi kirasyera na koniu, stojącego na warcie. Ten krzyknie doń:

— Kto idzie?

Gefreyter mu odpowie:

— Swój!

— Wracaj nazad, tędy nie przejdiesz! — woła kirasyer.

— Ja wracam do warty pod Belwederem! — odpowie tamten.

— Nie przejdiesz! — woła kirasyer.

Gefreyter, nie czekając dłużej, traf... traf... odwiódł kurek od karabinu i wziął na cel kirasyera.

— No, no, ruszaj z Bogiem! — powiada mu jezdny. — Tyś nasz!

Żołnierz wziął znowu broń na ramię i tak ominął walecznego Moskala bez szwanku.

Posłałem go zaraz powtórnie zwiedzić od strony drogi, co się działo w Belwederze. Wrócił po niejakiem czasie i doniósł mi, że w dziedzińcu wjezdnym od drogi było dużo kirasyerów i trochę polskiej piechoty z szóstego pułku, kompanii grenadyerów. Lecz z oficerów polskich nie widział tam żadnego.

Weteran rogatki, nazwiskiem Hankiewicz, przyszedł z napisanym raportem o tem wszystkim, co zaszło

tej nocy i o czem on słyszał; donosząc o tem do placu, to jest wprost do generała Lewickiego, komendanta miasta Warszawy. Ja, jako komendant warty, byłem obowiązany podpisać każdy taki raport. Weteran roгатki miał tam swoją kwaterę po lewej stronie warty, i tak samo, jak budynek warty, z dwóch pokoi złożoną.

Podpisałem raport, a kozak, dodany weteranowi do posyłek, był już gotów na swym białym koniu do wzięcia raportu. Cały wybladły i drżący od strachu, rzekł smutnym głosem: „że on pewno nie przejedzie cało ulic Warszawy“. — Proszczaj! — powiedział do weterana i ruszył naprzód na swej białej szkapie. — Ten biedny kozak został rzeczywiście zabity, a oficer ranny przy nim był to Gresser, adjutant wielkiego księcia, jak to powiedziano już wyżej.

Nieco później znowu mnie żołnierz wywołał, mówiąc mi, że szcęk wielki pałaszy i tentent koni słychać z tyłu okopów, od stronu rogatek Czerniakowskich, zbliżający się ku roгатce Belwederskiej. Czekałiśmy niedługo, bo w dwie lub trzy minuty, jak chmura, gromami ciężarna, liczna jazda, w pół galopie, ukażała się na drodze, uszykowana w trójki. Lecz minęła roгатkę, która była zamknięta i poszła kłusem ku roгатce Mokotowskiej. Był to pułk huzarów grodzieńskich.

Wracał on po utarczce jednego ze swych szwadronów z oddziałem podchorążych. Szwadron ten, dochodząc do Wiejskiej kawy, natarł na czoło małej kolumny podchorążych, pod komendą Wysockiego. Podchorążowie, parci z tyłu od kirasyerów, widząc, że inne jeszcze szwadrony huzarów stały w odwodzie, wpadli do koszar Radziwiłłowskich i do niedokończonego w sąsiedztwie budynku, i tam strzelając z okien i z bramy, ubili Moskałom kilku ludzi i kilka koni.

Otóż po tej utarczce ten pułk huzarów nie śmiał już iść przez miasto do Alei, gdzie był wielki książe z częścią kirasyerów, ale przez rogatki Czerniakowskie przeszedł po za okopami i pędził galopem ku rogatkom Mokotowskim, przesunął się przed mojem okiem, jak groźna gromami chmura. I już go więcej nie widziałem w Warszawie.

Dopiero aż pod Kaliszem, kiedy Knoring przypuścił na nas szarżę: kirasyerów podolskich, ułanów litewskich i huzarów grodzieńskich, zobaczyliśmy się znowu. Tam to ja kirasyerów, idących na mnie szóstkami, przypuściłem o kroków dwadzieścia i przyjąłem ogniem karabinowym tak serdecznym, że przednia szóstka zrobiła mi barykadę z zabitych koni i ludzi. Poczem reszta jadących za nią, sądziła być rzeczą nierównie prostszą, nie przedłużać wizyty i wróciła w tył, jak niepyszna, dla opatrzenia ran tych, którzy nie spadli z koni. Padli zaś ci tylko, którzy dostali rdzenny strzał w głowę — bo taki był mój rozkaz, dany moim żołnierzom: „Nie strzelać do piersi, ale mierzyć w głowę i do koni“.

W dalszym ciągu nocy 29. listopada nic mi się nie przytrafiło więcej.

Nazajutrz z rana, to jest 30. listopada widziałem armaty, ciągnące od Góry i ze Skierniewic ku stronie Mokotowa, a ztamtąd do rogatek Mokotowskich, gdzie się połączyły z wielkim księciem, obozującym tuż przy rogatce ze zbiórkami rozmaitych oddziałów wojska. 30. listopada generał Gerstenzweig przyprowadził mu z Góry szesnaście dział, 12 które stanowiły baterię tam konsystującą, a 4 armaty instrukcyjne. Inna jeszcze baterya nadciągnęła ze Skierniewic, złożona również z dwunastu dział 12-funtowych. Prócz tych oddziałów, innych wojsk moskiewskich nie widziałem dnia tego.

Po razy kilka musiałem dawać pomoc mieszkańcom Mokotowa, których kirasyerzy i inni żołnierze z gwardyi litewskiej przychodzili rabować. Posłałem natychmiast gefreytera z bronią i z dwoma ludźmi, wziąć tych łotrów pod areszt, albo ich rozpedzić, a zrabowane rzeczy odebrać. Ale marodery, skoro spostrzegli żołnierzy moich z bronią idącym ku nim, nie czekając na ich przywitante, uciekli nazad do obozu, zkąd przyszli.

Cały ten dzień czekałem na zmianę warty, ale ta nie przyszła z nikąd. Trzymałem więc wszystko w tym samym porządku i ostrożności, jak pierwszy. Nakoniec głód nam zaczął dokuczać. Ci z żołnierzy, którzy mieli po kilka groszy, posłali gefreytra po żywność do Sielec, ku stronie rogatki Czerniakowskiej; a tym żołnierzom, którzy nie mieli, ja dałem z mojej kieszeni, ażeby każdy z nich miał toż samo z żywności, co inni, i ja też z nimi.

Weteran, nie mając już kozaka do posyłek, sam chodził do Warszawy z raportem z odwachu i od rogatki do komendanta placu, generała Lewickiego, któremu doniósł o wszystkim, co zaszło w ciągu nocy 29. i o tem, że ja z wartą nigdzie nie ruszyłem. Rozkazów żadnych nie przyniósł, ani też żadnej wiadomości co do zmiany warty. Ja byłem tego przekonania, że w Warszawie panuje ten sam porządek, jak zawsze; że przyszlą nakoniec oddział zwyczajny do zmiany naszej warty, i że ja wrócę do koszar w należyty porządku. Ale dzień cały przeszedł bez żadnej odmiany i wieści. W końcu znowu weteran powrócił z miasta. Nagadał mi on wiele rozmaitych rzeczy — o tem, że Lewicki posyłał go gdzieś z jakimiś rozkazami i dał mu za to 15 dukatów w złocie. Pokazywał mi pieniądze i mówił, że jeżeli znów do niego pójdzie, to mu obiecał dać więcej je-



szcze. Ja mu nic nie odpowiedziałem na to, gdyż go uważałem jako szpiega. Nicem z nim nie mówił więcej dnia tego, ale też i on gdzieś zniknął, że go już później nie widziałem.

Brakło nam wielu rzeczy dnia tego; ale żołnierze znosili to z poświęceniem heroicznym. Żaden mi ani pół słowa nie mruknął, żaden nie szemrał. Broń była zawsze przy nich w odwachu. Aż oto około godziny 8 wieczorem przyszedł oddział piechoty polskiej w liczbie 46 ludzi z kompanii grenadyerskich szóstego pułku, pod komendą podoficera. Kiedy przybyły oddział stanął frontem do warty, podoficer oświadczył: „że jest przysłany z obozu wielkiego księcia do zajęcia warty na mojem miejscu i odesłania mnie wraz z moim oddziałem do obozu księcia“. — To powiedziałem, chciał wejść w kołki ze swoją bronią, gdyż moja — jak mówiłem — była wewnątrz odwachu.

— Nie waż się tego czynić! — powiedziałem mu stanowczo. — Póki ja tu jestem komendantem, mej władzy tobie nie ustąpię! Możesz twych ludzi ustawić, czy posadzić pod wystawą odwachu, wytchnąć czas jaki, ale warty wziąć ci nie pozwolę. Moja broń nabita i gotowa, a ty przychodzisz z obozu nieprzyjacielskiego...

— Ależ — odezwał się ten zuch obozowy — ja przychodzę od wielkiego księcia.

— Wielki księżę nie jest nam bratem — powiadam mu — on jest bratem cara i Moskał z ródu, a ty go wspierasz? Siądź, wypocząć pod wystawą i wracaj nazad, z kąd przyszedłeś, tyle ci tylko powiedzieć mogę — i wszedłem do odwachu.

Słyszałem żołnierzy, mówiących w odwachu, że każdy z tych żołnierzy 6-go pułku miał ładownicę, zamiast ładunków, napełnioną rublami po sam wierzch, a to w taki sposób: przechodząc oni około kasy ko-

misyi prowianckiej moskiewskiej, kiedy był rabunek tej kasy, znaleźli kilka, czy kilkanaście worków z rublami na ulicy. Wzięli je więc pomiędzy siebie i jak się mówiło, napełnili swoje ładownice, zamiast ładunków, rublami srebrnymi.

Jak kasa ta zrabowaną została, wiem to od mojego towarzysza tegoż samego pułku i kompanii; towarzysz ten, nazwiskiem Biegański, był tam na warcie 30. listopada, kiedy napad był wykonany przez motłoch i przez samychże urzędników na kasę. Biegański oddał im klucze zewnętrzne, a sam z całą wartą ustąpił w dziedziniec i tam stał pod bronią noc całą; a gdy i już w skarbcu nic nie pozostało, ustąpił. — Ja tam byłem na warcie poprzednio parę razy i wiem od oficerów, którzy przychodzili do kasy, a było ich trzech, że każdy miał klucz inny do zamku, którym go otwierał, a dwaj inni toż samo. Żaden z tych kluczów pojedynczo trzech zamków otworzyć nie mógł, a nawet wszyscy trzej razem nie mogli wejść do pierwszej izby bez komendanta warty, chociaż w tej izbie nic nie było, oprócz stołu i trzech krzeseł drewnianych. Do tej izby klucz wielki był zawsze w odwachu.

Każdy z tych trzech oficerów miał osobną pieczęć i wosk miękki za kołnierzem do przyłożenia z podwójnym sznurkiem nad dziurką od klucza po zamknięciu kasy, i wówczas na owym wosku każdy z nich wyciskał swą pieczęć. Po wyjściu oficerów, podoficer służbowy zamykał drzwi wstępne do kasy. Otóż oni mi powiadali, że w kasie było trzy miliony rubli. Jeden milion w złocie, drugi w srebrze, a trzeci w papierach.

Mówił mi także Biegański, że jeden z dozorców kasy, niejaki Skrebicki, korzystając z okoliczności, zajechał tam kilka razy kareta i wywoził złoto, mniej

dbając o srebro i o papiery, chociaż w końcu i z tych wiele mógł nabrać. Powiadano potem, że ten wierny sługa ochronił dużo skarbu od zguby. Spodziewać się należy, że musiał to sumiennie doręczyć wielkiemu księciu, a jeśli przytem i wyzłocił cokolwiek swoją własną kieszeń, można mu to wybaczyć za tyle podjętej fатыgi i za tyle strachu morderstwa, na jakie się narażał przy tak delikatnej operacyi. Moi żołnierze szeptali coś o tem, ale jam wówczas nie przywiązywał wielkiej wagi do tego, i dlatego szczegółów dobrze nie pamiętam.

Po dwóch, czy trzech godzinach wypoczynku, oddział 6-go pułku odszedł tam, zkąd przyszedł. Na pożegnanie, kiedy komendant groził mi gniewem wielkiego księcia i Lewickiego, ja mu rzekłem na to:

— Jam zrobił, co mi kazał mój obowiązek i niczego się nie lękam!

---

## ROZDZIAŁ IV.

Zamach na moje życie. — Hekkerkunst i jego dziwna historia. — Powód do nienawiści ku mnie i jego zamach poprzedni. — Jaki był koniec tego wypadku. — Powrót do miasta. — Radośne przyjęcie naszego oddziału. — Smutne moje położenie w koszarach. — Ratunek przyjacielski.

Tu muszę opowiedzieć dziwny wypadek, który mi się wydarzył tej nocy.

Po odejściu oddziału 6-go pułku, wróciłem na odwach. Żołnierze moi, każdy z bronią w ręku, siedzieli na swoich miejscach; świece nie było w izbie, ale ogień dość jasny palił się na kominie. Mój posyłka, niejaki Hekkerkunst (żołnierz z kolonij holenderskich), siedział bez broni, z powodu, że jako posyłka, miał tylko bandolier (t. j. pas skórzany przez plecy), bagnet w szajdzie i kaszkiet na głowie. Oprócz posyłek w rozmaite strony i do miasta, do których miałem prawo go używać, obowiązkiem jego było sprawować wszelką usługę warty i jemu wręczany był dozór wszystkiego, co należało do tej usługi, jakoto: znośnienie drzewa na opał odwachu, utrzymywanie w dobrym stanie siekiery do rąbania drzewa, łopaty, miotły, pogrzebacza do czyszczenia odwachu i platformy pod bronią w kołkach. Wszystko to było zamknięte w przybocznej izbie. Posyłka ów, pełniąc tę służbę, nie odbywał warty frontowej, tylko godzin 4 na dobę.

Siedział on w tej chwili, jak reszta żołnierzy, w swoim krześle tuż przy kominie i na wprost mnie, siedzącego w pierwszym krześle przy drzwiach. Nie miał przy sobie broni, jak inni, bo jego karabin był pod wystawą nie nabity i bez bagneta, gdyż bagnet był przy nim w pochwie. Po lewej ręce siedzącego był kubełek z wodą na ławeczce, a wprost tej ławki były drzwi, wiodące do izby przybocznej, służącej za skład narzędzi, o których była już mowa.

Patrzyłem na siedzącego, i jak dziś pamiętam, myślałem nad tem: jakim on sposobem wsunął się do mego oddziału? Albowiem pamiętam dobrze, że przy podziale powszechnym warty, dniem przedtem, ja go nie widziałem. Podług wzrostu nie należał on wcale do sekcji mych ludzi — a jednak był ze mną... jakim sposobem? Musiał chyba zrobić zamianę z innym żołnierzem, gdyśmy na Saskim placu rozwijali płaszcze i okrywali się niemi. Wówczas to on mógł dokonać tej zmiany i ukryć twarz w chwili, gdym dał komendę do marszu. A kiedym go dostrzegł w odwachu, trudno już było temu zaradzić. A że miałem wielkie podejrzenie o niedobrych celach jego bytności przy mnie, bo raz już poprzednio — jak powiem to niżej — zrobił on był zamach na moje życie, chociaż kto inny został zabity na mojem miejscu, mianowałem go tedy posyłką, ażeby li bagnet tylko był przy nim, a nie broń z bagnetem.

Siedział on — jak się wyżej rzekło — naprzeciw mnie, o cztery, czy pięć kroków, i zdawał się być głęboko uśpionym. Ja w mojem krześle, znużony długim niewczasem, zacząłem także zasypiać, lecz w prawej ręce trzymałem broń, mocno uchwyconą. Wtem około godziny pierwszej z północy usłyszałem lekki szelest przy drzwiach izby przyległej, gdzie był skład drzewa i narzędzi; gdym otworzył oczy, mego

posyłki nie było na miejscu. To mnie tknęło głęboko i sen mój uleciał natychmiast, ale się z miejsca nie ruszył, i przymknąwszy powieki, tak, abym mógł dojrzeć, co się w izbie dzieje, patrzyłem pilnie w stronę drzwi od przyległej drwalni. Po chwili drzwi te się otwarły i mój przyjaciel ciszkciem, na palcach, zamknął je ostrożnie, aby żadnego łoskotu nie było, i niosąc w prawej ręce coś ciężkiego, przesunął się z wolna do swego krzesła i usiadł.

Wówczas położył przy prawej nodze niesiony ciężar — była to siekiera. Spuścił ją toporem w dół i znowu udawał, że śpi. Żołnierze spali, i ani jeden się nie obudził w czasie, gdy się to działo; ale ja, widząc to jego przygotowanie i wiedząc, ku czemu, porwałem się na nogi, odwiodłem kurek, i biorąc na cel ptaszka, stojącego z siekierą w prawym ręku, krzyknąłem do żołnierzy:

— Wiara, do broni!

Żołnierze powstali z bronią w ręku, a nie wiedząc, co się stało, czekali mego rozkazu. Ja wtenczas do Hekkerkunsta:

— Rzuć w bok siekierę i bagnet z pochwy na ziemię, lub palnę do ciebie!

Cały przelękniony, widząc swój zamiar odkryty, rzucił on pod komin siekierę i bagnet z pochwy na ziemię. A ja, zwracając się do dobosza:

— Masz ty sznur jaki?

Dobosz wydobył parę łokci sznura, który dobosze zwykle mają w zapasie na wypadek potrzeby.

— Związać w tył ręce Hekkerkunsta i zamknąć go do odwachu, niech się tam cokolwiek przesp! — rzekłem do żołnierzy. — Patrzcie, wiara! Przyniósł on tu siekierę, sądził, że ja uspio, i że mi łatwo toporem rozplata głowę, a sam do miasta pójdzie na rabunek. Inaczej się stało...

Żołnierze zdziwieni, nie wiedząc, z kądby myśl zabójstwa powstała w tym człowieku, nic mi nie odpowiedzieli na to, bojąc się wszczynać rozmowę o tak smutnym wypadku. Zkąd on zaś miał zemstę do mnie i co się z nim wydarzyło mi dawniej, zaraz opowiem.

W roku 1827, pułk nasz (czwarty) wyszedł był do obozu w Powązkami dla przygotowania łów na namioty i dla oczyszczenia po zimie: piramid, baraków oficerskich, kuchni i szopy do czyszczenia sprzętów żołnierskich podczas deszczu lub śloty. W każdej sali było po kilku plantonów, to jest: po jednym żołnierzu przy drzwiach każdej sali i po jednym wewnątrz dla utrzymania porządku. Ów Hekkerkunst był też na plantonie dnia tego, a ja pełniłem służbę w kompanii.

Otóż przechodząc przez salę i widząc go bardzo czynnym przy tłumoku otwartym na jego pryczy (było to łóżko bez nóg, jak skrzynia, na którem zwykle spało po dwóch żołnierzy), zbliżyłem się do niego z tyłu, ale on tak był mocno zajęty układaniem różnych rzeczy w tłumoku, że ani słyszał mojego zbliżenia się. Ponieważ tych rzeczy, które Hekkerkunst układał w tej chwili, nie miał on prawa posiadać według regulaminu wojskowego, powiedziałem mu więc, aby się ich pozbył, albo je oddał temu, do kogo należeć mogą. I odszedłem w drugi koniec sali, nic więcej nie mówiąc. Na tem się rzecz skończyła co do mnie, ale inaczej się stało z tą podłą duszą Szwaba.

Po zwinieniu obozu, kiedyśmy wrócili do koszar, w dzień imienin cesarza Mikołaja, była illuminacja powszechna miasta i koszar. Dnia tego muzyka pułkowa grała na placu wjeżdżnym do koszar, przy ulicy Zakroczymskiej. Starzy żołnierze, mając pozwolenie, chodzili po mieście, gdzie im się podoba, sale w ko-

szarach były prawie próżne, bo w nich pozostali tylko rekruci i plantony zwyczajni. Ja, ponieważ miałem służbę dnia tego kompanii, nie wychodziłem na miasto; a Hekkerkunst był na posyłce u pułkownika, który miał swoją kwaterę o sto kroków może od koszar.

Cywilnych przyjaciół dużo było na dziedzińcu i po salach. Jeden z żołnierzy, niejaki Małonis, Litwin, miał gościa, studenta w mundurze ze szkoły Pijarów, 14 lub 15 lat chłopca; a że dzień był bardzo pogodny, przyprowadził go na salę do swojej pryczy, robiąc mu honory, jak we własnym domu. Jam właśnie w tej chwili przechodził przez salę i widziałem młodego chłopca, którego Małonis dla zabawki uczył musztry żołnierskiej; ale broń ta była za ciężka i student, nie mogąc jej utrzymać, widocznie ugiął się pod jej ciężarem.

Wtem Małonis, spostrzegłszy w kącie jednej z piramid broń bez bagnetu, mówi do studenta: „Postaw twój karabin do piramidy, a ja ci dam lżejszy“. To mówiąc, wziął ów karabin i zaczął się musztrować, komenderując: „Na ramię broń! Prezentuj broń!“ i t. d. A teraz patrz — tu odwiódł kurek, przyłożył się — „Cel! pal!“ — i na wyraz „pal“ ruszył za cyngiel, gdy wtem gruch!... rozległ się strzał — broń rzeczywiście wypaliła... Strwożony Małonis tym niespodziewanym wypadkiem, broń z ręki wypuścił, ale jednocześnie młody rekrut, stojący po drugiej stronie pryczy, padł jak długi na ziemię.

W pierwszej chwili myśmy wszyscy sądzili, że rekrut, przerażony hukiem broni, ze strachu upadł na ziemię; nie przypuszczając bynajmniej, aby broń mogła być nabita ostrym ładunkiem — ale, niestety, pokazało się przeciwnie: biedny rekrut był zabity na miejscu — kula przeszła mu pierś na wylot i w murze, tuż przy



piramidzie, wyłamała ogromną dziurę. Nabój widocznie był niesłychanie potężny.

Natychmiast znać dałem do warty policyjnej, do feldfebla i do kapitana o tym nieszczęśliwym wypadku. Oficerowie służbowi z warty policyjnej: kapitan, porucznik, podporucznik, podoficer, doktor pułkowy i audytor byli wnet na sali, później nieco przyszli kapitan kompanii Szporny i feldfelbel Olszewski. Zdziwienie wszystkich było wielkie, jak ta broń mogła wypalić, kiedy żaden z żołnierzy nie miał ładunku od czasu, jak w obozie do tarczy strzelano? A i wówczas każdy żołnierz strzelał według kontroli i każdy miał sobie danych tylko sześć ładunków, które były zapisywane po każdym strzale.

Pytano się: kto tę broń nabił? Nikt jej z nas przytomnych wówczas na sali nie nabijał. Broń stała w kącie i nie była bronią żołnierza, który z niej wypalił, nie wiedząc o tem wcale, że była nabita. Feldfelbel przyniósł zaraz rejestr kontroli strzałów i obejrzał, czyj numer był na broni. Znaleziono, iż to była broń Hekkerkunsta. A że go nie było na sali, bo jakieśmy widzieli, był on na posyłkach u pułkownika; posłano natychmiast kaprała z dwoma ludźmi szukać go i przytrzymać, zanim pogłoska o wypadku się rozjedzie, ażeby nie uciekł. W pół godziny znaleziono go w mieście, wzięto pod areszt na wartę policyjną, a mnie aresztowano również za to, że podczas mojej służby ten się wypadek wydarzył.

Nastąpił sąd wojenny. Hekkerkunst się przyznał, że ta broń była przez niego nabita i przeznaczona do zabicia mnie w łóżku, gdy wszystko będzie spało w koszarach. Rzecz była tak dobrze obmyślona, że niktby go zapewne nie dostrzegł w chwili popełnionego morderstwa. Kiedy się go pytano o powód tak wielkiej zemsty do mnie, odpowiadał, że ja się raz

z niego naśmiewałem, iż on miał kochankę blondynkę, a tak czarną, jak kruczek. Był to żart, wymyślony przez żołnierzy, przed którymi się on chwalił, że ma kochankę blondynkę, a któryś z dowcipnisiów dodał: a czarną, jak kruczek. Ja go też raz w żartach i bez żadnej złej myśli zapytałem: „A cóż Hekkerkunst, jak się ma twoja blondynka? Czyś ją widział?” — i tyle wszystkiego.

Co zaś do ładunku ostrego, kiedy się go pytano w czasie indygacyi, z kąd on go dostał, odpowiedział, że w czasie obozu, kiedy strzelano do tarczy, on jeden z sześciu ładunków schował do kieszeni, a z trzech czy czterech innych usypał po trochę prochu i tym sposobem zrobił jeden ładunek próżny, czy ślepy i wystrzelił nim do tarczy, jedynie aby w zapisywaniu strzałów jego w kontroli pokazano było sześć.

Hekkerkunst skazany został na dwa lata do ciężkich robót w Modlinie, a i Matonis był również skazany na dwa lata w Zamościu. Ja byłem godzinę w areszcie. Na dwa tygodnie przed 29. listopada Hekkerkunst powrócił z więzienia, a ja go dziś po raz pierwszy od jego powrotu widziałem. Po raz więc drugi, zrządzeniem Opatrzności, zamach na mnie mu się nie udał. Kiedy mu zimno zaczęło silnie dokuczać w drwalni, zaczął mnie prosić i zaklinać na wszystko, ażebym miał litość nad nim i abym go żywcem nie zmroził. Kazałem go wpuścić do pierwszej izby, ale rąk mu nie rozwiązywać. I tak on pozostał ze mną aż do 3. grudnia. Gdyśmy wrócili do pułku, oddałem go pod wartę na placu Krasińskich, tuż przy teatrze.

Od tego dnia nie widziałem go więcej aż po bitwie ostrołęckiej, kiedy przyszedł mnie prosić, ażebym się za nim wstawił do pułkownika w celu nominowania go podoficerem w nowo formujących się puł-

kach. Uczyniłem to, wypłacając się zabójcy dobrodziejstwem, jako prawy chrześcijanin. Dostał on stopień podoficera, jak żądał, w jednym z pułków nowo utworzonych. Poczem straciłem go zupełnie z oczu, a i Matonisa nigdy już nie widziałem.

1-go i 2-go grudnia przeszły bez żadnego szczególnego wypadku, bo oprócz posłania patrolu do Czerniakowa, gdzie maroderzy moskiewscy pozostali w koszarach, zaczęli rabować mieszkańców — nic nam się nie wydarzyło nowego. A i ci maroderzy, na widok regularnej piechoty z bronią, nie czekając reszty, zniknęli, jak węże przed grzmotem.

3-go grudnia, jeszcze nie wiedząc, co się dzieje w Warszawie, kazałem żołnierzom poczyścić pasy lederwerków i obmyć się po czterodniowym czuwaniu i niewygodzie, poczem wystąpiłem z bronią do kołków, czekając na jakąkolwiek wiadomość. Strzałów nie było słychać w żadnej stronie, ani też nie widzieliśmy żadnego ruchu wojska, ani polskiego, ani moskiewskiego. Wreszcie około godziny 1-szej z południa przyleciał jakiś żołnierz z konnej gwardyi szaserów od Mokotowa i żądał, abym go puścił przez roгатkę. On to nam przywiózł pierwszą wiadomość, że wielki książę opuścił obóz z całym swym wojskiem i że wszystkie wojska polskie, które były przy nim, odesłał do Warszawy.

Kazałem szlagbaum otworzyć i puścić go do miasta, a sam uradowany z tej dobrej nowiny, zebrałem całą wartę, dałem broń i lederwerki wszystkim żołnierzom, a nawet i Hekkerkunstowi i ruszyłem do miasta. Chciałem z razu mego złoczyńcę prowadzić związanego pod strażą, ale on mi zaprzysiągł, że pójdzie spokojnie, aby mu tylko rozwiązano ręce i nie robiono publicznego wstydu. Zgodziłem się na to,

tembardziej, że żołnierze mi zaręczyli, że nie dadzą mu broni i że będą mieć baczność, aby nie uciekł.

Tak przeszliśmy Nowy-Świat. Radość narodu była niewypowiedziana. Z okien, z drzwi domów powiewano chustkami, witano czapkami, pokazywano portrety Kościuszki, wołając: „Niech żyje pułk 4-ty! Niech żyje Polska! Niech żyje szkoła podchorążych!“ Takeśmy weszli na plac Krasieńskich. Tam stał 1-szy batalion naszego pułku i dwie armaty, skierowane wzdłuż ulicy Miodowej. Po zameldowaniu się i kilku minutach wypoczynku, pociągnęliśmy do koszar.

Gdy wszedłem na salę, nie było tam więcej nad kilku żołnierzy z 6-tej kompanii. Kazałem broń ustawić w piramidzie, z rozkazem, aby jej nie tykano, a sam poszedłem się przebrać i zmienić bieliznę. Ale jakież było moje zdziwienie i żal, kiedym otworzył moją pryczę. (Ja przez wyłączny fawor miałem pryczę pojedynczą). Kuferek mój rozbity leżał w głębi — wszystko było z niego zabrane: kilka mundurów kompletnych, kilka płaszczów surdutowych, kilkadziesiąt złotych w gotówce, które miałem na drogę do Petersburga, jako instruktor pływaczy, sześć czy siedem par czyżem sohowych i wiele jeszcze innych rzeczy — wszystko było zabrane, oprócz jednego buta na prawidle! Czy złodziej nie zdążył go wziąć z innymi rzeczami? Czy nie wiedział, jak zdjąć go z prawidła? Słowem, ten tylko, jakby na śmiech zostawiono, a zresztą nic, ani na obwinienie palca!...

Nic mi więc nie pozostało, prócz tego com miał na sobie! Była to strata wielka, ale cóż było robić? Zrozpaczony i zmęczony rzuciłem się na pościółkę — a raczej na resztki pościeli, bo moja kołdra, safianowa poduszka, prześcieradło, ręczniki, wszystko zniknęło... Młodość i czterodniowe znużenie przemogły wszystko. Zasnąłem snem twardym i prawie bez przytomności

spałem aż do godziny siódmej nazajutrz... Budząc się, poczułem naraz, że mi ktoś nogi całował, otwieram oczy i nad wszelkie podziwienie widzę młodego, cywilnego człowieka, stojącego przy moich nogach. Zrazu nie mogłem poznać, kto to był taki, ale gdy przemówił do mnie, odrazu poznałem mojego drogiego niegdyś przyjaciela, Hieronima W\*\*. Opuścił on był pułk nasz za dymisyą, dawszy wpierv zastępcę za siebie, na lat siedm, gdyż był już wysłużył lat trzy.

Otóż ten zacny człowiek gdy się dowiedział, że ja przybyłem do koszar, natychmiast pospieszył, aby mnie widzieć... A gdy mu opowiedziałem, co się stało w czasie mojej nieobecności, i gdy mu opisałem mój stan opłakany, sięgnął ręką do kieszeni, dobył garść srebra i dał mi takowe z serdecznem uczuciem radości. Przyjąłem z chęcią, nie robiąc ceremonii, ten dar pocziwego serca przyjaciela, i poszedłem natychmiast na ulicę Franciszkanów, dla kupienia bielizny niezbędnie potrzebnej, a której z nikąd mieć nie mogłem.

---

## ROZDZIAŁ V.

Sławna kawiarnia Honoratki. — Zkąd to nazwisko? i kto była właścicielka tego zakładu?

Kawiarnia, która z powodu, że się stała głównym punktem zgromadzeń najzagorzalszych klubistów w czasie rewolucyi 1831 roku, miała zbyt wielki rozgłos i znana była w całej Warszawie, nosiła nazwisko „Honoratki“. Było to miejsce, gdzie się spotykali ludzie polifyczni rozmaitych stronnictw, a przeważnie posłowie i wyżsi wojskowi republikańskiego odcienia. Ztąd to wychodziły rozkazy i mocye najgwałtowniejsze.

Nie mogę więc jej pominąć w moich wspomnieniach tembardziej, że znałem dobrze właścicielkę, która jej dała swe imię i całe pochodzenie tej pani. Kilka słów o tem wszystkim nie będzie tu zbyt cenną rzeczą, a ciekawy czytelnik znajdzie tu szczegóły, które rozjaśnią należycie fizognomię tego sławnego miejsca schadzek, jakby dziś powiedziano: „Anarchistów warszawskich“.

Ja znałem Honoratkę, to jest właścicielkę sławnej kawiarni tego nazwiska, dobrze przed rewolucją, bo jeszcze w r. 1826. Honoratka nie było to nazwisko jej rodziny, ale jej imię chrzestne — nazywała się

ona rzeczywiście Honorata, albo przez spieszzenie Honorcia Witkowska i mieszkała w owe czasy z rodzicami przy ulicy Wierzbowej wprost Marewillu, gdzie później po jego zwaleniu wybudowano nowy teatr. Ich dom był więc wprost lewej strony teatru, wychodzącej na ulicę Wierzbową, w sąsiedztwie pałacu Brylowskiego, stykającego się tam z pałacem Saskim i wychodzącego frontem na plac Saski.

Pan Witkowski w tym domu trzymał bilard, piwo, a może i inne trunki. Na dole był jeden tylko wielki pokój, a z niego schody prowadziły na piętro, gdzie mieszkała rodzina. Ten pan Witkowski był to człowiek porządny i za młodu musiał być bardzo przystojny. Był on rodem Litwin, ze wsi kościelnej Olwita, własności mojego stryja ciotecznego, Wysogierda, wojewodzica otyckiego\*). Pan Witkowski przybył za młodu do Warszawy. W jakim położeniu? tego nie pamiętam. Tu się ożenił z bardzo piękną Warszawianką, i po różnych zmianach losu, otworzył nakoniec, jak powiedziałem, bilard, przy ulicy Wierzbowej. Mieli oni jedną tylko córkę, imieniem Honorcia. Kiedym ją widział raz pierwszy, mogła mieć lat 14 i była już wówczas prześliczną panienką.

Znajomość moja z nimi przysła ze znajomości niejakiego p. Stankiewicza, rodem z Olwity, którego znałem i całą jego rodzinę jeszcze przed moim wejściem do 4-go pułku liniowego (4. kwietnia 1825 r.). Ów p. Stankiewicz w rok po mnie wszedł również do 4-go pułku i byliśmy w wielkiej przyjaźni. Lubiłem go bardzo z powodu, iż rysował i malował wodnemi kolorami, jak prawdziwy artysta.

---

\*) Musi to być pomyłka szanownego autora. Nie było wojewódzkiego krzesła tego tytułu, a w spisach dygnitarzy nie znajdujemy nazwiska żadnego Wysogierda.

Pan Witkowski był jego wujem i przez Stankiewicza prosił mnie nieraz, abym ich odwiedził którego dnia z moim kolegą i został u nich na obiedzie, co ja z przyjemnością przyjąłem i nieraz bywałem w ich domu. Oprócz Honorci, która codzień była więcej interesująca, nigdy tam nikogo, oprócz rodziny, nie spotkałem. Po jakimś czasie umarła jej matka, a w rok później ojciec ożenił się z bardzo przyzwoitą panną, ale mniej piękną, niż jego pierwsza żona. Honorcia przy swej macosze jaśniała wdziękami.

W 1828 r. umarł ten p. Witkowski, a jego wdowa z Honorcią najęły dom na Starem Mieście. Ja nie wiedziałem nic o tem, bo po śmierci biednego Stankiewicza nie uczęszczałem wcale do państwa Witkowskich i byłem obcy temu, co zaszło. Ale razu jednego wracając z obozu i przechodząc przez Stare Miasto, że upał był wielki, aby się ochłodzić nieco, wstąpiłem do domu, w którym była nowo otworzona kawiarnia. Gdy wszedłem do izby, nad me spodziewanie spotkałem tam Honoratę Witkowską. Na moje zapytanie: co ona tam robi? — odpowiedziała, że po śmierci ojca osiadła tam z macochą i otworzyły kawiarnię. Honorata wówczas była to już dorosła panna i niezmiernie piękna. Przyszła też i macocha, a pogadawszy chwilę z temi paniami, pożegnałem je tem prędzej, iż widziałem jednego z naszych oficerów, idącego na górę.

Z tego powodu nigdy już więcej nie byłem u nich. Dopiero po bitwie ostrołęckiej, przyjechawszy na parę tygodni do Warszawy, tegoż samego dnia, kiedy z poduszczenia K. Połowskiego, wykonano znany zamach kontr-rewolucyi i powieszono na latarniach kilka osób — przechodząc przez ulicę Miodową i słysząc tyle rozmaitych rzeczy, jakie mi opowiadano o Honoratce i klubie, mającym swą główną



kwaterę w tej kawiarni, poszedłem do niej na kawę. Wówczas to w sławnej owej Honoratce poznałem dawną moją znajomą Honorcię i jej macochę. Po wypiciu kawy pożegnałem to bożyszczę klubistów, wróciłem do obozu pod Młynami za okopem Pragi, i więcej już jej nie widziałem w życiu. Taka to jest prawdziwa historia sławnej Honoratki.

---

## ROZDZIAŁ .VI

Wyprawa na gran-gardę generała Rozena. — Historia o pieczonem kurczęciu. — Zakrzew i Dobre. — Moskale pobici. — Pierwsza rana i pierwsze trudy wojenne. — Rozprawa nad Jasionką. — Przybycie na pola grochowskie.

Miło jest słuchać lub czytać opowiadania starych żołnierzy — milej jeszcze rozważać te opowiadania, starając się wskrzesić ubiegłą przeszłość. Ale mało kto wie, jak trudną jest rzeczą opisywać własne spotkanie z nieprzyjacielem na polu bitwy — trudną, bo w czystą prawdę, prosto i bez ozdoby stylu wypowiedzianą, rzadko kto uwierzy, a zmyślać w tej materii nie godzi się i nie wolno. Opisy prawie wszystkich bitew doszły nas w opowiadaniach kronikarzy, dziejopisów i literatów, z których żaden w tych bitwach nie był, a tylko ze słyszenia, lub przepisując to, co inni o tem pisali, również ze słyszenia, opowiada, kwiecistym stylem zastępując to, czego mu brakło pod względem wiadomości dokładnych.

To też rzadkie bardzo opisy bitew, wykonane przez naocznych świadków i aktorów na tej krwawej scenie, jak na przykład: opisy, które nas doszły w komentarzach Cezara, pokazują ogromną różnicę, jaka zachodzi pomiędzy tem, co mówi naoczny świadek a

tem, co podaje pisarz, opowiadający ze słyszenia, lub z uzbieranych tu i owdzie wiadomostek i gdzie, jak mówiliśmy, po największej części wyobraźnia zastępuje rzeczywistość i prawdę.

Nie mając wcale pretensyi porównywać się tutaj z nieśmiertelnym pisarzem komentarzy o wojnach galijskich, spróbuję tylko opisać niektóre z większych bitew polskich z 1831 r., w których osobiście brałem czynny udział. Chociaż tyle już lat ubiegło, pół wieku prawie, od owej pamiętnej epoki, przecież pamięć moja jest tak przepełniona temi wspomnieniami, że mi się zdaje, jakbym dziś patrzył na te wypadki, a więc i szczegóły o tem złoże tu, żywcem wyjęte z pamięci. Prawda naga i czysta zastąpi ozdoby stylu, których mi braknie, i tem gorzej dla mnie, jeśli moich czytelników zadowolnić nie zdołam. Robię co mogę dla świętej sprawy, jak mogę tak zbieram te okruszyny wielkich wypadków. *Magna dii curant!*

Po objęciu naczelnego dowództwa nad wojskiem rosyjskiem przez feldmarszałka Dybicza na początku 1831 r., armia jego, przeznaczona do działania w Polsce, liczyła 120.000 ludzi i 400 armat, składał ją głównie kurpus tak zwany litewski, pomnożony rozmaitemi oddziałami, konsystującemi w prowincjach zbliżonych do granic Polski. Wkrótce cała ta masa wojska rozdzielona została na trzy korpusy, z których jeden, pod dowództwem generała Rosena, liczący 32 tysiące żołnierza, stanowił jakby straż przednią całej armii i postępował ku Warszawie po wielkiej szosie od strony Siedlec.

Feldmarszałek Dybicz zgromadziwszy wszystkie siły, postanowił odrzucić wojsko polskie ku stolicy, zamknąć je w Warszawie, której poddanie się szybkie, nie pozostawiało żadnej dla nich wątpliwości. Rozgrzewano ducha armii, rozpuszczając wieści, że wojsko

polskie, złożone z 35 tysięcy żołnierza i 56 armat polowych, nie jest w stanie się oprzeć przeważnym siłom moskiewskim, że ci ostatni zarzucą ich czapkami — słowem, że na zbliżające się zapusty zahulają w zwyciężonej Warszawie. Niedługa przyszłość gotowała mu najsmutniejszy zawód tych smutnych nadziei!

Na wieść o pochodzie naprzód Dybicza, my też nie zostaliśmy beczynni i siły, przeznaczone do stawiania mu pierwszego oporu, wystąpiły z Warszawy zając stanowiska naprzód wyznaczone. Dnia 19. lutego w okolicach Kałuszyna i Mokobodów, na polach śniegiem pokrytych, stał nasz pułk 4-ty piechoty w rozwiniętych batalionach, jakby do parady na Saskim placu. Pułkownik Bogusławski przeglądał szeregi, opatrywał ubiór, stan broni, która dotąd jeszcze nie była nigdy w użyciu i badał troskliwie o zdrowie każdego prawie z żołnierzy.

Stary wojak z czasów Napoleona, w niewyszukanych wyrazach, ale krótko i zwięźle przemówił do nich i zaraz przelał w ich duszę ten hart zimnej odwagi, który nosił w sercu i natchnął ich zapałem, którego nic później złamać nie potrafiło. Rozkazał obejrzeć skałki, wówczas albowiem, chociaż już zamki z pistonami znane były w strzelbach myśliwskich, żadne jeszcze wojsko ich nie miało, opatrzyć ładownice, z których od czasu wyjścia z Warszawy, 11. grudnia, ładunki nie były jeszcze wydobyte. Nakoniec kazał broń nabić, mówiąc:

— Za dwa dni najdalej, a może i wcześniej, będzie ona w użyciu. Ręka silna i celne oko zapewnią nam zwycięstwo — to też wiara mierzyć dobrze, a strzelać powoli! Bo strzelać, aby strzelać, na nic się nie przyda; samym hukiem nieprzyjaciela nie pokonamy!

Poczem, uformowawszy się w kolumny, ruszyliśmy naprzód.

12. lutego przyciągnęliśmy pod miasteczko Dobre i stanęliśmy na nocleg w lesie. Oddziały rozłożyły się około ognisk, roznieconych pod drzewami i po za krzakami, ale z bronią w rękę. Ja tej nocy, z oddziałem siedmiu ludzi, wysłany byłem na zwiady. — Wiedziano, że korpus Rozena był w marszu i spodziewano się go w sąsiedztwie. Udając się boczną drogą przez las ku stronie Makowca i Pniewnika, posunąłem się o jaką dobrą milę ku nieprzyjacielowi, ale nie spotkawszy żadnego podejrzanego odgłosu, wróciłem nazad do ognisk, z kąd byłem wyszedł przed dwiema godzinami.

Noc była zimna, przenikliwa. Wiatr północno-wschodni dokuczał nam niezmiernie; bo choć twarz ogrzana płomieniem ogniska miała ciepła dosyć; jednakże z tyłu lód mroził plecy, a palce u nóg były w szalonym rozbracie z twarzą. Tak przeszła noc 12. i 13. lutego bez jednej chwili wypoczynku. Bo cóż na iskrzącym się śniegu, bez dachu u góry, bez słomy u spodu, uczynić było można? Nie zostawało nam nic innego, jak cierpieć i czekać na nieprzyjaciela, nim ten nadciągnie.

Nadciągnął on wreszcie z 13. na 14. lutego. Korpus Rozena 32-tysięczny zatrzymał się pod Pniewnikiem, a jego gran-garda, z 6 tysięcy ludzi złożona, znajdowała się pod wioską Zakrzew, położoną o milę drogi od miasteczka Dobre. 14. zajęliśmy zaraz przeznaczone nam pozycje: pułk 4-ty miał lewe swe skrzydło oparte o miasteczko Dobre, a prawem łączył się z 8-mym pułkiem piechoty. Te osiem batalionów piechoty były przeznaczone do obrony otwartego pola; las gęsty osłaniał nam prawe i lewe skrzydło; rzeka błotnista, chociaż pod lodem i most na

niej, były przed nami — na ten most bateria naszej artylerji była wymierzona ze wzgórza, pod samem miastem, a jazda była z tyłu.

Dzień 15. lutego przeszedł spokojnie. Pod wieczór niejaki Czajkowski, mój niegdyś podkomendny, a wówczas już podoficer, przyszedł mi powiedzieć, że jego żona ma dla mnie kurczę, które kupiła w miasteczku i kieliszek wódki. A że ja byłem zawsze dla nich grzeczny, w nagrodę też oni przez dobrą pamięć zachowali dla mnie, choć cena była wysoka i pretendentów bez liku. Zapłaciłem z radością, co żądali za kurczę i wódkę. Dałem natychmiast trębaczowi z mego sierżantstwa kurczę, aby je upiekł przed ogniem, nas ogrzewającym, mówiąc mu: jak pieczeń będzie gotowa, to będzie obiad dla nas obydwóch.

Ale tu dopiero można sprawiedliwie powiedzieć, że człowiek mierzy, a Pan Bóg kule nosi. Skrzynecki zawiadomiony o tak bliskiem sąsiedztwie przedniej straży korpusu Rozena, postanowił teje nocy uczynić wycieczkę na tę gran-gardę, podejść ją niespodzianie, jeśli się uda, uderzyć i odrzucić na główne siły Rozena. W tym celu eał rozkaz uformować oddział, złożony z czterech bataljonów piechoty, z jednego szwadronu 2-go pułku ułanów, z dwoma 6 - funtowemi, lekkimi działami. Skoro ten rozkaz został wydany, rozeszła się zaraz wieść po szeregach, że nieprzyjaciel jest blisko i że mamy stanąć pod bronią.

Rzeczywiście o godzinie siódmej wydano rozkaz do broni. Stanęliśmy więc w szyku bojowym, sądząc, że nieprzyjaciel był tuż przed nami, a moje kurczę zostało na rożenku pod opieką tych, co zostawali dla strzeżenia obozu u ognisk tylko co rozpalonych. Pułkownik Bogusławski, zwoławszy wszystkich sztabsoficerów, wydał im rozkaz generała 3-ciej brygady, Skrzyneckiego i stosowne dla każdego z nich rozpo-

rządzenie dalszego marszu; poczem o godzinie 9 ruszyliśmy naprzód; przeszedłszy most, skierowaliśmy się ku stronie, gdzie był nieprzyjaciel, wypoczywający pod Pniewnikiem i mający gran-gardę pod Zakrzewiem.

Noc była pogodna, a szron na drzewach przy blasku księżyca pomnażał jeszcze jej jasność. Śnieg silnie zmrożony skrzypiał pod nogami i utrudniał niezmiernie marsz żołnierzy; to też kolumny posuwały się zwolna naprzód. Jednakże około godziny jedenastej dotarliśmy do przedniej straży nieprzyjaciela i spostrzegliśmy dwóch jezdnych, stojących na czatach, zaraz przy wyjściu z lasu. Jeden z nich spał na koniu, i tak był mocno snem objęty, że nawet nie słyszał naszego marszu po skrzypiącym tuż przed nim śniegu, drugi zaś czuwał. Chciał on zaalarmować kolegę wystrzałem z pistoletu, lecz pistolet nie wypalił. Nie miał już on czasu obejrzeć broni, udał więc głosem wystrzał z pistoletu i tem rozbudził swego towarzysza.

Ruszyli natychmiast obaj w galop do obozu, który był za nim o jakie ćwierć mili. Tam rozłożone wojsko nie miało żadnej placówki, broń była w kózłach, jak to się praktykuje zwykle na rewiach przy wypoczynku rozwartych batalionów, ogniska zaś były w tyle za bronią, tuż przed wioską Zakrzewem. Żołnierze jedni spali a drudzy byli zajęci przygotowaniem ulubionej ich potrawy „szczy“, to jest kapuśniaku z mięsem wołowym, lub ze szwininą.

Kiedy dwaj jezdni z przedniej straży, którzy uszli przed nami, dali znać w obozie o naszej wizycie, nastąpił ogromny popłoch i zamieszanie w szeregach. Oficerowie, rozebrani jak do rosołu, niemal wszyscy, przynajmniej wyższej rangi, byli rozlokowani wygodnie we wsi po domach, nie przypuszczając nawet,

ażeby ta biedna garść Polaków mogła pomyśleć niepokoić ich w tej chwili. Obchodzili oni swoje zapusty, śpiewając, krzycząc: hura! i pijąc za zdrowie cara i Dybicza.

Aż tu strzał jeden i drugi wyrwał ich z tej błogiej radości, dalej, jak grad, posypały się kule, po całej ich linii otwarto ogień karabinowy. Lecz my z naszej strony nie odpowiadaliśmy na to. Oprócz 8-go pułku i naszej artyleryi, reszta szeregów postępowała spokojnie i w milczeniu. Artylerya nasza kartaczami siała śmierć pomiędzy tych, którzy się z ich strony rzucili do rozebrania swej broni, stojącej jeszcze w kozłach, lub powalonych na ziemię wystrzałami z armat.

Ich artylerya nie była na froncie, a zanim przysła, było już zapóźno. Piechota uciekała, jak szalona i wioska Zakrzew była próżna, jakby wymiół Moskali. A my z zabraną bronią na kilku wozach i z kociołkami na wpół ugotowanej kapusty i mięsa, byliśmy już o ćwierć mili od nich na drodze do naszego obozu.

W tej wycieczce dwóch nam tylko ubito ludzi, i to jest rzecz podziwienia godna, iż obaj ci żołnierze, choć z dwóch różnych broni, cios śmiertelny otrzymali jednak, to jest w sam środek czoła. Jeden z nich był z 4-go liniowego, drugi ze szwadronu ułanów 2-go pułku, podczas gdy ten wykonywał szarżę wzdłuż ulicy we wsi Zakrzew. A co się tyczy straty ze strony Moskali, ta była wielką, jak zwykle się zdarza w wojsku, napadniętem z nienacka. Mówiono nam później, że sami Moskale liczyli do 900 ludzi w zabitych i rannych.

Jak wiele broni przywieźliśmy z sobą z moskiewskiego obozu, nie mogę tu oznaczyć z pewnością i sądząc, jak była złożona na wozach, musiało jej



być kilkaset. Ja, chociaż byłem na linii tyralierów, nie wystrzeliłem wcale ani razu, bo mieliśmy rozkaz, aby naszym ogniem nie odkrywać Moskałom naszej pozycji. Cały nasz oddział, to jest kolumny bojowe i tyraliery, siedzieli na śniegu; w ten sposób kule nieprzyjacielskie przechodziły nad naszymi głowami i żaden z ludzi 2-go batalionu nie zginął.

Ta nocna wyprawa otrzymała cały swój skutek; wzmocniła bowiem zaufanie i odwagę naszego żołnierza, a wielki popłoch rzuciła w szeregi naszych nieprzyjaciół. Odtąd na sam widok polskich kolumn czuli w sobie niepewność i pewien rodzaj przestachu. Dodać tu muszę, że te kolumny, z powodu naszych płaszców z ciemnego szaraczku, wydawały się im z daleka, jak czarne, złowieszcze mary, i żołnierz ich czuł w sobie przykre wrażenie, któremu, jeśli się da raz przystęp, trudno jest potem wyplenić w sercu żołnierzy.

Po moim powrocie do własnego ogniska, najpierwsze było moje zapytanie: „A gdzie jest moje kurczę, a gdzie mój kieliszek wódki?“ — coby się bardzo przydało po dwudziestogodzinnem wygłodzeniu. Ale wszelkie moje poszukiwania, niestety, były daremne. Oficerowie z 3-go batalionu, po naszym odejściu do szeregów, o godzinie 7 wieczorem wpadli do ognisk dla ogrzania się, a spostrzegłszy bardzo powabny kąsek na rożenku, zawarli umowę z opiekunem onego, że mi koszt wróca — i natychmiast, jak wilcy, rozćwiertowali kurczaka na tyle części, ilu ich tam było, i ani jednej nie zostawili kosteczki; a z owej wódki po kilka kropel zaledwie każdemu z nich się dostało. A ja, właściciel tych specyałów, oprócz próżnej butelki z papierową zatyczką, nic więcej nie zastałem na miejscu. Na tem się kończy opis wielkich strat moich, a wojna zaczyna się na seryo!...

Cały dzień następny po tej nocnej wyprawie przeszedł nam beczynn timer i noc, jak poprzednią, spędziliśmy w lesie, ale tym razem bez ognia, choć mróz dociskał, jak pierwej i wiatr suchy, bardziej przenikliwy, niż we dnie, na wskrós przejmował. Stać tak pod bronią noc całą beczynn timer na śniegu, nie sądzę, aby to był powab dostateczny dla zachęcenia do dobrowolnych zapisów wielu ochotników.

O siódmej z rana, kiedyśmy stanęli pod bronią na miejscach, wskazanych nam poprzednio, wygłodzeni żołnierze sprowadzili każdą pełną kwaszonej kapusty z miasteczka Dobre. Czy ją kupili, czy też przywłaszczyli sobie z jakiego opuszczonego od mieszkańców domu? nie wiem — ale i mnie z podziału kilka się łyżek dostało tej smacznej kapusty. Po tej uczcie zmieniłem bieliznę, a chociaż śnieg suchy, miotany wiatrem, otulił mi ciało należycie, kończyłem wesoło moją tualetę, jakby w ciepłym buduarze. — Byliśmy bowiem pewni wizyty Moskali z pod Zakrzewia, a że Rozen prowadził trzydzieści tysięcy ludzi i sto dwadzieścia armat, nie rokowałem sobie z tego spotkania nic innego, prócz ran lub śmierci; nie chcąc przeto zginąć w zabrudzonej koszuli, dopełniłem tej zmiany, aby i po śmierci nawet nie być posądzonym o niechlujstwo.

O godzinie 9-tej rano Moskale byli już przed mostem, o kilkaset sążni od miasta i natychmiast rzucili się nań w ściśnionych kolumnach, ażeby prędko i w większej liczbie zająć pozycję za mostem. Nasze bojowe kolumny i artyleria były ukryte. Moskale, nie widząc nikogo na otwartym polu za rzeką, musieli sądzić, że przerażeni strachem ogromnej ich siły, Polacy uciekli przed nimi; bo te osiem naszych batalionów i dwanaście armat z dwoma szwadronami jazdy, miały być dla nich igraszką — szli więc na pewne...

Ale jakież przestרח i zamieszanie nastąpiło w tych ścieńnionych kolumnach na moście, kiedy na raz ryknęły działa i kartaczami dały do nich ognia. Trup na trupie okrył most cały, rannych było bez liku. — Posuwające się naprzód nowe kolumny doznały tegoż samego przyjęcia, co pierwsza, druga i trzecia. To były prawdziwe jatki — Sathan baranów!...

Widząc, co się dzieje na zawalonym trupami moście, szukali wówczas dopiero przejścia przez rzekę po lodzie. Tak przeszło kilka ich pułków na naszą stronę i zaraz całe ich bataliony rozsypały się w tyraliery, co pięć kroków po dwóch, a my z naszej strony mieliśmy tyralierów, podług reguł, jakby na rewii, co piętnaście kroków po dwóch, z eskortą 24 ludzi za każdym plutonem tyralierskim, leżącym płazem na roli, lub w brózdach ornego pola. Strzały nasze musiały być bardzo skuteczne, bo w krótkim czasie cała ta linia rozsypanych Moskali tak się zmniejszyła, że nowa linia pospieszyła zająć jej miejsce, chociaż nie z lepszym powodzeniem. Nakoniec trzecia linia ukazała się z lasu, w czarnych pasach; to był pułk strzelców (jegry), nie pomnę już, jakiego nazwiska. Było to już około 3-ciej godziny popołudniu. Niektórym z naszych tyralierów zabrakło ładunków, ale żołnierski przemysł wkrótce im takowych dostarczył, bo po zabitych Moskalach. Ich pełne ładownice stały się nam arsenałem; broń nasza była jednego kalibru z ich bronią.

Podczas kiedy kolumna jegrów całą swą masą wyszła na otwarte pole, i my wyciągnęliśmy nasze rezerwy na linię, a świeże plutony z pułku zajęły miejsca naszych rezerw w tyle. Ogień rozpoczął się straszliwy, ale w tej chwili pułkownik Bogusławski wpadł konno pomiędzy naszych tyralierów i ogromnym głosem zawołał do nas:

— Na sztychałki, wiara! Za mną!

I wnet cała nasza linia tyralierów poszła śladem męznego swego pułkownika z bagnietem w rękę na kolumny, stojące przed nami. Moskale nie dotrzykali placu i lewo w tył zrobiwszy, pierzchnęli do lasu.

My też wróciliśmy na nasze dawne stanowiska, ale ogień trwał ciągle. Wówczas to dostałem dwa strzały; pierwszy przeszedł mi z boku pomiędzy ustami i zrosił krwią moją proch na panewce. Właśnie bowiem, gdy odgryzł koniec ładunku i wyspał proch do panewki, pierwej, nim zdołałem ją zamknąć, dostałem ten całus. Był on cierpki, ale na szczęście nie śmiertelny, bo drasnawszy dolną wargę, poleciał gdzieś dalej. Chwilkę później, po zamknięciu panewki, byłbym stał prosto — i byłoby już po mnie! Moskał dobrze celował, ale Pan Bóg ocalił swego wiernego sługę.

Obtarłszy chustką krew z ust ciekącą, wytarłszy panewkę na sucho i nową osadziwszy skałkę, znowu, jak pierwej, zacząłem wypłacać mój dług Moskałom sowicie. Pierwsza moja kula po tym wypadku upadła tuż przed nogami nieprzyjacielskiej kolumny, gdyż mierzyłem w piersi, wszystkie inne później już przenikały w kolumny, ponieważ cel mój podniosłem do kaszkie-tów. Moskale, nie mogąc znieść ognia naszej broni, odstąpili znowu do lasu, dając mi na pożegnanie i na pamiątkę strzał nowy w prawą goleń. Kula ciało mi tylko zraniła bez uszkodzenia kości, bo szczęściem łodyga jakaś sokłaku, stojąca tuż przy nodze, została ściętą, i tym sposobem kula straciła impet, a moja goleń na tem zyskała, chociaż nie miała już siły, aby mnie utrzymać.

Obwinałem nogę chustką i podpierając się kolbą, ustąpiłem w tył za szeregi. Było to już blisko wpół do czwartej z południa, mrok zaczął się zbliżać i ja z kilku rannymi poszliśmy przez las powoli i bez na-

tłoku. O godz. 4-tej cała nasza linia ustąpiła ku stronie Stanisławowa. Moskale, spostrzegłszy ten odwrót, myśleli, że to już ucieczka i puścili się na oślep za naszą tylną strażą, która trzymała ich w rygorze i odstrzeliwała się spokojnie.

Tak przeszliśmy las cały aż do rzeczki zwanej Jasionką, na której był most bez poręczy, a tuż za mostem po prawej stronie, idąc od miasteczka Dobre do Stanisławowa, młyn, czy też folwark jakiś. Kiedym ów most przeszedł, o pięćdziesiąt może kroków za nim, w bliskiej gęstwinie jałowców i młodych sosenek, spostrzegłem sześć naszych armat sześćofuntowych już odprzodkowanych i na most wymierzonych, w asekuracji jednej, czy dwóch kompanij piechoty, również ukrytych w tych krzakach.

Dzień już był na schyłku i niebawem wszystkie nasze bataliony z pod miasteczka Dobre przeszły przez most. Jak tylko straż tylna, idąca za nami, dosięgła przeciwnego brzegu, natychmiast z krzykiem i wrzaskiem, ścigający nas oddział Moskali, rzucił się tłumnie na most, ani się spodziewając, jakie tu przyjęcie go czekało. Zaledwie bowiem połowy mostu dosięgli, gdy nagle ukryta nasza batryja raz, drugi i trzeci osypała ich kartaczami. Zmieszana i zbita kolumna Moskali poszła w rozsypkę i spiesznie cofnęła się nazad. Nasza też artylerya, skończywszy swoje, z asekuracyjną piechotą, pociągnęła spokojnie do Stanisławowa.

Późno już w nocy przywlokłem się do Stanisławowa i wszedłem do jakiegoś domu, czy do oberży, gdzie było dużo naszych żołnierzy zdrowych i kilku rannych; kiedy będący tam żołnierze spostrzegli, że miał pod kolanem przewiazaną nogę, uszanowali mnie i przyjęli uczciwie. Ustąpiono mi zaraz kawałek miejsca na gołej podłodze, bez jednej garści słomy

nawet. — Było to już po 11-tej w nocy, a ja od 8-mej z rana nic w ustach nie miałem — ale moje znużenie było tak wielkie, że zaledwiem usiadł, w pięć minut zasnąłem snem twardym, od dni już kilku nieznanym.

Nazajutrz raniutko wszyscy moi towarzysze noclegu opuścili izbę, w której, oprócz mnie jednego, nie zostało nikogo. Był to ranek 18. lutego. A chociaż twardą była pościółka moja tej nocy, wstałem jednak rzeświejszy i mogłem iść bez podpierania się kolbą. Tak nareszcie przybyłem pod Okuniew, gdzie się złączyłem z moim pułkiem, ale z powodu zranionej nogi, służby mi żadnej nie dano. Po obiedzie bardzo pożywnym zaraz mi sił w dwójnasób przybyło i byłem gotów do służby, kiedy o godzinie 3-ciej z południa dano nam znak do marszu. Po za nami i ku stronie wsi Cyganka słyszeliśmy gwałtowny huk armat. Był to pułkownik Wolski, atakowany przez sześć batalionów moskiewskich i baterię konnej artylerii. Nikt mu z obroną w tej chwili pospieszyć nie mógł i waleczny Wolski, własnym zostawiony siłom, z bagnetem w ręku otworzył sobie drogę i wyprowadził swój pułk z tej matni.

Wyszliśmy z pod Okuniewa o godzinie 3-ciej — jak mówiłem — bitym gościńcem i w szyku bojowym, dążąc do przeprawy: piechota po obu stronach drogi, artyleria, jazda i furgony w środku. Około 11-tej w nocy dnia tegoż stanęliśmy na polach grochowskich, o dwie godziny uprzedzając tam Moskali, co było dla nas ważną niezmiernie rzeczą.

Na tem kończę moje opowiadanie o wycieczce na gran-gardę korpusu Rozena pod Zakrzewem i o bitwie pod Dobrem, gdzie Moskale stracili w zabitych i rannych przeszło 1000 ludzi.

---

## ROZDZIAŁ VII.

Trzydniowa bitwa pod Grochowem. — Pierwsza noc w Olszynie. — Bitwa pod Wawrem. — Powrót naszych dywizyj na dawne pozycje. — Oczekiwanie. — Dziwna śmierć Grabskiego. — Ciągłe trwogi tej nocy. — Szewc Suliński i jego cudowne buty. — Zmiłowanie Boskie. — Niespodziany posiłek po trzydniowym głodzie.

Teraz przechodzę do pamiętnej, krwawej trzydniowej walki, znanej pod nazwiskiem: bitwy pod Grochowem.

Po ośmiogodzinnym marszu, prawie bez odpoczynku, o godzinie 11-tej w nocy — jak mówiłem przy końcu poprzedzającego rozdziału — przeszliśmy naprzód pole pod Wawrem, a wpół godziny później wyszliśmy na gołe pola, zwane „Grochowską Wolą“, oczekując tam dalszych rozporządzeń głównego sztabu naczelnego wodza, którym był w owej chwili generał Chłopicki.

Noc była ciemna, chociaż śnieg pokrywał ziemię, a nadmiar nieprzyjemności dla nas, okropnie zmęczonych, śnieg pruszył z góry, z kąd oczekiwanie na gołym polu było uciążliwe i przykre. Jak zwykle ku wiośnie, mróz był nie wielki, ale stojących beczynnienie pod bronią wiatr przenikał do szpiku kości. — Gdyśmy przeciągali, idąc z pod Wawru, przez część

Grzybowskiej Woli, pomijając liczne stogi grochowin, przyszło mi na myśl wyrwać z tych stogów choć parę garści grochowin dla zrobienia poduszki pod głowę. Wykonanie tego zamiaru okazało się daleko trudniejszym, niżelim się mógł spodziewać, bo moje skostniałe od zimna ręce, nie mogły wyskubać z tego spakowanych stogów nad dwie, czy trzy garście grochowin.

Przyspieszono nasz marsz naprzód i szybko minęliśmy te stogi, dążąc na wyznaczoną nam pozycję. Stanęliśmy wreszcie plutonami w kolumnie — byliśmy u kresu. Ja, znalazłszy tuż przed plutonem brudę, głębiej wyoraną, niż inne, położyłem na niej garść moich biednych grochowin, i w pół minuty zasnąłem tak głęboko, że kiedy o 4-tej godzinie rano kazano nam stanąć pod bronią, już tego nie słyszałem i dopiero jeden z podoficerów przyszedł mnie obudzić. To przebudzenie gotowało mi przykrą niespodziankę; śnieg, który ciągle pruszył, stopniał mi za kołnierzem i zmoczył halsztuch na szyi tak, że się ten zmienił na prawdziwą obrożę z lodu. Szczęściem, że choć omackiem i na oślep weszliśmy zaraz w sąsiednie krzaki olszyny. Było to prawdziwe dobrodziejstwo dla zziębłych żołnierzy, bo ich gęstwina zasłoniła nas od wiatru północno-wschodniego, który nieprzyjemny we dnie, w nocy staje się nieznośny.

Tam w krzakach i pod drzewami posiadaliśmy, trzymając się kupy, z bronią w rękę, a oficerowie z dobytymi pałaszami. O godzinie 7. z rana posunięto nas nieco ku stronie nieprzyjaciela, ale zostawiono zawsze dobrze ukrytych w lesie. Straży przednich nawet nie wysunięto z krzaków, ustawiając je po za grubszymi drzewami; nie pozwolono krzesania ognia i palenia fajek, bo najmniejszy odbłysek wśród nocy mógł nas zdradzić i wskazać naszą pozycję nieprzyjacielowi.



Tu znowu przysiedliśmy na śniegu, jak kto mógł. Ja z porucznikiem Łosowskim, aby nam ciepłej było, oparliśmy się plecami jeden o drugiego. Nakoniec około godziny 9-tej z rana posłyszeliśmy pojedyncze wystrzały. Była to nasza straż przednia, która do zbliżających się Moskali dla zwiadów, dała ognia. Ci, nie czekając reszty, cofnęli się zaraz ku swoim. Były to nasze placówki pierwszego batalionu, który miał ten zaszczyt pierwszy dnia tego przywitać nieprzyjaciela. Zresztą znowu wszystko ucichło, bo nasze prawe skrzydło w tej chwili nie było jeszcze zajęte. Dopiero o godzinie 9-tej ciągnąc z pod Turowa na Kawenczyn, zajął je generał Krukowiecki ze swoją dywizją i w tymże czasie generał Szembek zajął pozycję Grochowa.

Generał Chłopicki, postanowiwszy stoczyć wałą bitwę, wydał ostatnie swoje rozkazy, wskutek których dywizya jazdy pod generałem Jankowskim, złożona z trzech pułków, stanęła pod Kątami Grodzkimi, dla obserwacji nieprzyjaciela. Generał Żymirski, który tylko co przybył ze swoją dywizją, idąc od Miłośny, wystąpił na linię i sformował się w kolumnach, pomiędzy wsią, czy oberżą Wawru i pomiędzy lasem; dywizya jazdy pod Łubińskim i dywizya 4-ta generała Szembeka zbliżyły się ku prawemu skrzydłu; a o ćwierć mili z tyłu, w pobliżu Grochowa, na lewym skrzydle była 3-cia dywizya; pomiędzy zaś Grochowem i laskiem Olszyny (gdzieśmy już byli od 4-tej godziny z rana) stała nasza 1-sza dywizya. Jazda i rezerwy nasze były tuż pod Grochowem i sięgały aż do okopów Pragi.

Moskale całą swą masą posuwali się naprzód, idąc od Okuniewa dwoma drogami. Główna ich armia szła po szosie od Miłośny, a korpus Rozena, dobrze już znajomy, ciągnął drogą od Grzybowskiej

Woli. Obie te drogi łączyły się pod Wawrem w tym samym punkcie, który zajmowały, jakieśmy widzieli, dwie nasze dywizye. Korpus Pahlena, idąc po szosie, przybył pierwszy na miejsce i sformował się zaraz przy wyjściu z lasu. Generał Szembek uderzył nań natychmiast z 1-szym pułkiem na czele, i po złamaniu kilku batalionów, zmusił Pahlena do wejścia nazad do lasu, gdzie ten otrzymawszy liczne posiłki, sformował się na nowo.

Generał Szembek nie był w siłach, aby go atakować w lesie natychmiast, ale wsparty wkrótce przybyciem 2-giej dywizyi, rozpoczął walkę. Przybyłe świeżo pułki poszły niewzruszone naprzód. 2-gi pułk zdobył na nieprzyjacielu chorągiew i sześć dział, które później, nie mając koni, aby je uprowadzić z sobą, musiał zagwoździć. Pahlen wówczas posunął naprzód swą jazdę; dywizya, złożona z brygady huzarów i 3-ciej brygady ułanów, rzuciła się naprzód, ale generał Łubiński, w niezmiernie świetnej szarży, wpadłszy na tę dywizję, rozgromił Moskali i zapędził nazad do lasu. Słowem, ile razy nieprzyjaciel usiłował się sformować na nowo pod lasem, zawsze nasi zmusili go ustąpić z placu.

Ta uporna walka, która nosi nazwisko bitwy pod Wawrem, trwała tak aż do przybycia na pole bitwy korpusu Rozena. Korpus ten, idący — jakieśmy mówili — od strony Okuniewa, wstępując na pole bitwy, znalazł się prawie całkiem z tyłu dywizyj polskich. Liczna bardzo artylerya tego korpusu rozwinęła się natychmiast na pobrzeżu lasu i chociaż nasza artylerya 1-szej dywizyi i pierwsza bateria konnej artyleryi odpowiedziały Moskałom z wielką żywością, pozycja nasza okazała się być silnie zagrożoną, co zmusiło generałów Szembeka i Żymirskiego do opuszczenia zajmowanego dotąd stanowiska i do po-

wrotu na swe poprzednie pozycje pod Grochowem. Dla ułatwienia tego odwrotu, który z każdą chwilą stawał się trudniejszym, generał Krukowiecki wprowadził 5-ty pułk liniowy do lasu, z którego wychodził korpus Rozena. Waleczny pułk 5-ty spotkał tam nieprzyjaciela z wielkiem mężstwem i póty nie ustąpił z placu, aż obie nasze dywizye znowu wróciły na dawne pozycje.

W ten sposób cała armia polska była zgromadzona pod Grochowem i nasza 1-sza dywizya, rozłożona przy lasku Olszyny, zajęła go we trzy bataliony 4-go pułku i miała go wkrótce uczynić miejscem pamiętnem dla polskich sztandarów. To pierwsze spotkanie się z wojskiem polskiem dało poznać Dybiczowi, że ze stutysięczną swą armią nie będzie on w stanie „zarzucić nas czapkami“ — jak się wyraził.

Armia nasza, po urządzeniu ostatecznem swych szyków 19. lutego, zajmowała bardzo mocne pozycje; prawem swem skrzydłem oparta o Wisłę, lewem przytykała do Olszynowego lasu, otoczonego bagnami, który stanowił jakby klucz całej pozycji. Cały grunt na rozciągłości tej linii bojowej, poprzecinanej rowami, stawał wielkie trudności do pokonania dla nieprzyjaciela, pomimo, że mróz silny ułatwiał w części w tej chwili jego manewra.

Po odwróceniu naszego prawego skrzydła z pod Wawru, około godziny 10. z rana, Moskale atakowali lasek; ale pomimo wszelkich usiłowań liczego nieprzyjaciela, — po trzykroć odparliśmy zwycięzko jego pokuszenia. Po trzecim odwróceniu nieprzyjacielskiej piechoty, ja byłem komenderowany do wystąpienia na linię z tyralierami. Linia moskiewska tyralierów, złożona z batalionu piechoty, który stał w asekuracyi ich armat, rozwijała się przed nami. —

Woli. Obie te drogi łączyły się pod Wawrem w tym samym punkcie, który zajmowały, jakieśmy widzieli, dwie nasze dywizye. Korpus Pahlena, idąc po szosie, przybył pierwszy na miejsce i sformował się zaraz przy wyjściu z lasu. Generał Szembek uderzył nań natychmiast z 1-szym pułkiem na czele, i po złamaniu kilku batalionów, zmusił Pahlena do wejścia nazad do lasu, gdzie ten otrzymawszy liczne posiłki, sformował się na nowo.

Generał Szembek nie był w siłach, aby go atakować w lesie natychmiast, ale wsparty wkrótce przybyciem 2-giej dywizyi, rozpoczął walkę. Przybyłe świeżo pułki poszły niewzruszone naprzód. 2-gi pułk zdobył na nieprzyjacielu chorągiew i sześć dział, które później, nie mając koni, aby je uprowadzić z sobą, musiał zagwoździć. Pahlen wówczas posunął naprzód swą jazdę; dywizya, złożona z brygady huzarów i 3-ciej brygady ułanów, rzuciła się naprzód, ale generał Łubiński, w niezmiernie świetnej szarży, wpadłszy na tę dywizyę, rozgromił Moskali i zapędził nazad do lasu. Słowem, ile razy nieprzyjaciel usiłował się sformować na nowo pod lasem, zawsze nasi zmusili go ustąpić z placu.

Ta uporna walka, która nosi nazwisko bitwy pod Wawrem, trwała tak aż do przybycia na pole bitwy korpusu Rozena. Korpus ten, idący — jakieśmy mówili — od strony Okuniewa, wstępując na pole bitwy, znalazł się prawie całkiem z tyłu dywizyj polskich. Liczna bardzo artylerya tego korpusu rozwinęła się natychmiast na pobrzeżu lasu i chociaż nasza artylerya 1-szej dywizyi i pierwsza baterya konnej artyleryi odpowiedziały Moskałom z wielką żywością, pozycja nasza okazała się być silnie zagrożoną, co zmusiło generałów Szembeka i Żymirskiego do opuszczenia zajmowanego dotąd stanowiska i do po-

wrotu na swe poprzednie pozycje pod Grochowem. Dla ułatwienia tego odwrotu, który z każdą chwilą stawał się trudniejszym, generał Krukowiecki wprowadził 5-ty pułk liniowy do lasu, z którego wychodził korpus Rozena. Waleczny pułk 5-ty spotkał tam nieprzyjaciela z wielkiem mężstwem i póty nie ustąpił z placu, aż obie nasze dywizye znowu wróciły na dawne pozycje.

W ten sposób cała armia polska była zgromadzona pod Grochowem i nasza 1-sza dywizya, rozłożona przy lasku Olszyny, zajęła go we trzy bataliony 4-go pułku i miała go wkrótce uczynić miejscem pamiętnem dla polskich sztandarów. To pierwsze spotkanie się z wojskiem polskiem dało poznać Dybiczowi, że ze stutysięczną swą armią nie będzie on w stanie „zarzucić nas czapkami“ — jak się wyraził.

Armia nasza, po urządzeniu ostatecznem swych szyków 19. lutego, zajmowała bardzo mocne pozycje; prawem swem skrzydłem oparta o Wisłę, lewem przytykała do Olszynowego lasu, otoczonego bagnami, który stanowił jakby klucz całej pozycji. Cały grunt na rozciągłości tej linii bojowej, poprzecinanej rowami, stawał wielkie trudnościami do pokonania dla nieprzyjaciela, pomimo, że mróz silny ułatwiał w części w tej chwili jego manewra.

Po odwróceniu naszego prawego skrzydła z pod Wawru, około godziny 10. z rana, Moskale atakowali lasek; ale pomimo wszelkich usiłowań licznych nieprzyjaciela, — po trzykroć odparliśmy zwycięzko jego pokuszenia. Po trzecim odwróceniu nieprzyjacielskiej piechoty, ja byłem komenderowany do wystąpienia na linię z tyralierami. Linia moskiewska tyralierów, złożona z batalionu piechoty, który stał w asekuracji ich armat, rozwijała się przed nami. —

Chyłkiem więc wysunąłem się z lasu i wkrótce bardzo wielka celność naszych strzałów zmusiła tę linię do ustąpienia z pozycji i do skupienia się w tyle swoich armat. Ja moim ludziom liczyłem i wskazałem odstępy, jak zwykle, po dwóch co 15. kroków, bo na gęstszy łańcuch nie miałem dość ludzi.

Tak urządziwszy i posuwając się ostrożnie ponad rowami, doszliśmy niepostrzeżenie aż pod same prawe skrzydło armat moskiewskich, które nam dokuczały tem więcej, że z naszej strony na tym punkcie nie mieliśmy ani jednego działą. Otworzyliśmy natychmiast ogień na artylerzystów i w krótkim czasie ci z nich — którzy nie padli od kul naszych, porzuciwszy armaty, uciekli w tył do swej asekuracyjnej piechoty. My tych dział opuszczonych nie mogliśmy zabrać, niestety, bo tam były cztery bataliony, dodane do ich straży i szwadron ułanów. Ci ostatni próbowali nawet przypuścić szarżę na nas, ale ja wnet sformował moich ludzi na trzęsawisku w kupki tyralierskie, co widząc ułani, wzięwszy kilka strzałów, poszli tam nazad, z kąd przyszli. Wówczas powolnie, z kilku rannymi i nie straciwszy ani jednego żołnierza w zabitych, wróciłem nazad do naszego batalionu w lasku.

Czas jakiś potem przestano strzelać tak z naszej, jak i ze strony Moskali, bo widocznie odstęp był za wielki dla skutecznego użycia ręcznej broni. Za to ich artylerya, nie mając żadnego działą naprzeciw siebie, zasypywała połowę lasku granatami i kulami pasowemi, bo na kartacze z ich pozycji było za daleko.

Większa część dnia zesła na samem tylko strzelaniu tyralierów, ale około godziny 3-ciej z południa, kiedy już Rozen przybył na linię bojową, stanęliśmy w rozwiniętych batalionach. Ja znalazłem się za lewem skrzydłem 6-tej kompanii, zakrytej na pół piersi od

strzałów artylerii ustawionej naprzeciw nas, maleńkiem wzgórzem i krzakami olszynek. Niejaki Grabski, podoficer z naszego pułku, który stał po prawej stronie zwrócony twarzą ku mnie, wyjął z kaszkieta książkę do nabożeństwa, pisaną prześlicznie po polsku, widocznie ręką kobiety, mówiąc, że ją podjął z ziemi po zabitym oficerze pod Zakrzewiem. Chciał mi on dać ją na pamiątkę, ale mu powiedziałem, że nie wezmę tego, co jest po zabitym. Schował ją on więc znowu do kaszkietu, ale zaledwie go wdział na głowę, aż tu spadły pomiędzy szeregami kompanii granat, przed nim i przedemną rozpękł się z hukiem i rozerwał go powyżej bioder. „Dobij mnie!“ jęknął on parę razy, ale na ten krok nikt się nie ważył i w kilka minut biedak skończył życie. Przykry to był widok i nie radbym był oglądać raz drugi coś podobnego.

Dużo granatów pękało nam nad głowami, niewiele przynosząc szkody. Więcej ich jeszcze pękało z tyłu za nami, gdyż ten mały wzgórek mylił oko artylerzystów. I w rzeczy samej każdy prawie granat uderzał w ten wzgórek i rykoszetem przelatywał nam ponad głowami.

Nadeszła wreszcie noc. Pułkownik kazał ustawić bataliony w ściśnięte kolumny, na gruncie, który się rozciągał właśnie po za tym małym wzgórzem. Rozstawiono strażę przed wzgórzem, ażeby Moskale nie mogli nas podejść podczas ciemnej nocy. Około godziny 9-tej wszystkie te stráže zbiegły się spiesznie do kolumny, mówiąc: że pułk kirasyerów podchodzi ku nam. Chociaż chrzęst ich stalowych pancerzy i pochew był uciszany dość zrećnie, przecież sam tentent koni, który nie mógł być ukryty, zdradzał ich przytomność na polu przed nami. Natychmiast ściągnięto nasze kolumny na trzęsawiska sąsiednie i czekaliśmy spokojnie na ich przybycie. Rzeczywiście w kilka mi-

nut byli już przed nami o kilkanaście kroków. Komenda „dać ognia“ przerwała ciszę — błysk straszny oświetlił naszą kolumnę, a celne wystrzały, które się posypały z jednej strony jej czworoboku, tak dobrze ich przyjęły, że zawróciwszy nazad, z ogromnym chrzęstem i brzękiem zniknęli w ciemnościach.

Na tem nie był jeszcze koniec naszych niepokojów i było nam sądzono i tę noc jeszcze bezsennie przepędzić. Skoro bowiem kirasyerowie odeszli, nasze straże wróciły na dawne stanowiska, my wyszliśmy na grunt suchy. Niedługo jednak spokojność trwała, bo około godz. 11-tej w nocy czujne nasze straże posłyzały lekkie gwizdania od strony Moskali, a wkrótce zaraz przytłumione wyrazy: „Patisze rabiata! patisze!“ Zrazu straże, w dalekiej cieni, dojrzeć ich nie mogły; ale patrząc pod horyzont, przypadłszy do ziemi, spostrzegli posuwającą się zwolna linię piechoty. Przypuściwszy ich bliżej, nasi dali ognia, co zaraz zmieszało szyki Moskalom. Kilku z nich padło rannych, kilku zabitych, reszta poszła w nogi.

Wspomniałem tu, żeśmy się cofnęli na sąsiednie trzęsawiska za przyjściem kirasyerów. Była to operacya dosyć nieprzyjemna, bo stojąc przez całą godzinę prawie po kostki w wodzie, nasiąkłe wodą obuwie mroziło potem okrutnie nogi żołnierzom. Ja dziwnym wypadkiem unikałem tej nieprzyjemności. Niejaki Suliński, szewc z mojego sieraństwa, gdyż ja wówczas byłem podoficerem tylko, kiedy przy rozpoczęciu kampanii sam nie wiedziałem, co pocznę z mojem obuwie, ponieważ — jak to mówiłem na początku — okradziono mnie do nitki w koszarach za czasu, kiedy trzymałem wartę 29. listopada i dni następnych na Belwederskiej roгатce — otóż ów poczciwy Suliński, widząc mój frasunek, oświadczył się, że mi zrobi parę butów, które i wody nie przepuszczą i mrozu nie



dadzą mi uczuć. Pocziwa dusza! Wykonał rzeczywiście, co przyrzekł i jemu też zawdzięczam, iż nigdy podczas tej zimowej kampanii nie czułem wielkiego zimna i nogi miałem zawsze suche.

Około 3-ciej z północy, kiedy już wszystko zdało się być spokojne, kilku żołnierzy naszych ofiarowało się pójść w tył za linie dla otrzymania jakiegobądź pokarmu i choć trochę wódki. Kapitan kompanii, niejaki Szporny, który zginął później pod Ostrołęką, dał na to zezwolenie, bo i on czuł tęż samą potrzebę, co i my, posiłku; a gdy i podpułkownik nie był temu przeciwny, daliśmy tym żołnierzom, kto co mógł, w miarę swej potrzeby i wyprawiliśmy ich w drogę. Poszli oni w tył do Grochowa, a chociaż była to godzina zbyt późna w nocy, przecież w godzinę może czasu wrócili nazad, przynosząc nam niespodziewane pokrzepienie: trochę wódki, kilka bułek i chleba.

Było to prawdziwe zmiłowanie Boskie, bo od godziny 3. z południa 18. lutego, gdyśmy wyszli z pod Okuniewa, aż do 3. po północy 20. lutego w Olszynie pod Grochowem, byliśmy nietylko bez chleba kawałka, ale nawet bez jednej kropli wody! Spragnieni, głodni, jak kominiarze osmaleni prochem, opaleni ogniem z panewek, wyglądaliśmy prawdziwie, jakby dzicy ludzie. Chociaż więc skromny bardzo, był to zbawienny posiłek, tembardziej, że 20. mieliśmy znowu spotkać się z nieprzyjacielem, w dwójnasób liczniejszym, niż 19., i co do żołnierza i co do artylerji, a to bez żadnej nadziei spoczynku, choćby na gołym zagonie i na śniegu, i bez najmniejszej okruszyny posiłnego pokarmu!

---

## ROZDZIAŁ VIII.

Drugi dzień bitwy pod Grochowem. — Usiłowania Dybicza do wyparcia nas z lasku Olszynowego. — Atak na całej linii. — Wielkie strąty ze strony Moskali. — Zawieszenie broni. — Zbliżanie się korpusu Szachowskiego. — Spotkanie się jego z naszymi pod Białotką. — Małachowski i Jankowski. — Odwrót Jankowskiego. — Przybycie dywizji Krukowieckiego. — Odwrót Szachowskiego przez Kąty Grodzkie. — Przygotowania do walnej bitwy pod Grochowem.

20. lutego, Dybicz, aby nas ostatecznie wyprzeć z naszych pozycyji pod Grochowem i odrzucić do Warszawy, postanowił użyć wszystkich sił swoich i na głównych punktach ataku skupić potężną swoją artyleryę od samego więc rana i na całej linii nieprzyjacielskiej rozpoczęto ogień działowy, który z małemi bardzo przerwami, trwał prawie dzień cały. Pod protekcyą tych strzałów liczne kolumny piechoty posuwały się naprzód i z obydwóch stron ogień ręcznej broni był tak okropny, że głośny ryk pozycyjnych armat.

Wojsko nasze dnia tego było uszykowane w dwie linie. Dywizya 4-ta tworzyła nasze prawe skrzydło i opierała się o Grochów, dywizya 3-cia zajmowała środek, zasłaniając prawy bok Olszyny, dywizya 1-sza uszykowana była wzdłuż lewego boku lasku, a dywi-

zya 2-ga tworzyła drugą linię bojową. Cała nasza jazda była z tyłu, jako rezerwy. Część tylko tej jazdy, z jedną baterią artylerii konnej była przyłączoną do lewego skrzydła, naprzeciw Kawęczyna.

Dybicz główne swe usiłowania wyteżył przeciw laskowi Olszyny. My, cośmy trzymali tę pozycję, nie słyszeliśmy nic, prócz strzałów karabinowych i klekotu bagnatów. Po kilka razy i z największym gwałtem Moskale przyszli wyprzeć nas z lasku, ale zawsze zostali odparci ze stratą, bo go broniły dwa najdzielniejsze pułki polskie, 4-ty i 5-ty liniowe.

Po niezmiernie długim i nieustannem strzelaniu z armat, Moskale znowu około południa się rzucili na zdobycie Olszyny. Największy atak był przypuszczony przez ich prawe skrzydło, na nasze lewe, broniące lewej strony lasku. Ja tam byłem z bagnetem w rękę i mogę powiedzieć śmiało, że to była piekielna sprawa. Atakujące nas kolumny, prowadzone z wielką energią, ile razy dosięgły brzegów Olszynki, tyle razy były odparte z ogromną stratą, w zabitych i rannych. Raz czy dwa jednakże wdarli się byli Moskale do lasku, lecz zmuszeni byli cofnąć się natychmiast, nie mogąc wytrzymać naporu sił naszych. Dzielny pułk 4-ty trzymał ten punkt honorowy i bronił go mężnie, wsparty bohaterką odwagą 5-go pułku.

Całe pole przed laskiem zasłane było trupami moskiewskimi. Straty ich dnia tego były tak ogromne, że niektóre ich pułki zmieniły się w bataliony. Z naszej strony, chociaż straty były nierównie mniejsze, dotkliwie nam jednak dawały się uczuć, bo mniejsi od nich liczbą, musieliśmy walczyć jeden przeciw czterom. Dybicz dnia tego wiele tych czapek, któremi miał nas zarzucić, zostawił na polu bitwy i dostrzegł jasno, że aby pokonać nas, potrzeba mu było jeszcze powiększyć swe siły i dlatego postanowił czekać na przybycie

Szachowskiego z korpusem, który liczył 18 tysięcy żołnierza i 60 armat. Ta świeża pomoc dopełniała od razu poniesione straty w dniu 20. lutego, tak w ludziach, jak również w działach, z których wiele było zdemontowanych a kilka zabranych przez nas.

Z tego powodu nazajutrz Dybicz zażądał zawieszenia broni. Naprzód prosił o trzy godziny tylko dla zebrania rannych i pogrzebania zabitych; te trzy godziny przeciągnęły się — jak zobaczymy niżej — do dni trzech, widocznie w celu oczekiwania idących posiłków. Wiedziano o tem dobrze u nas, ale, niestety, nie można było oprzeć się temu, bo — jak mówiłem — i w naszych szeregach pokazały się bolesne szczyrby. Atakować Moskali w mocnych pozycjach, jakie zajmowali, szczególnie w proporcji jednego na czterech, było rzeczą niemożliwą; musieliśmy więc zgodzić się na to, czemu przeszkodzić nie byliśmy w siłach. Powiedzmy zresztą, że teraz, po dwu dniach mordy i wycieńczenia, tak jedna, jak i druga strona nie były w stanie wystąpić do ataku na gołym polu.

W tym czasie korpus Szachowskiego przybliżał się spiesźnie. Dnia 23. lutego był już w Zegrzu, nad Narwą, na której przejścia miał bronić 4-ty batalion 8-go pułku piechoty, wysłany z załogi w Modlinie. Ale lód, który okrywał rzekę, był jeszcze dość mocny i dozwolił generałowi Szachowskiemu przejścia Narwy z całą piechotą. W takich okolicznościach jeden polski batalion bez artylerji nie był w stanie bronić mu przeprawy i zmuszony został ustąpić do Modlina. Tak więc Szachowski, przeszedłszy spokojnie Narew, ciągnął z całym swym korpusem do Nieporetu.

Dybicz niespokojny, aby ten korpus samotny, szukając połączenia się z siłami głównej armii, nie

został atakowany niespodzianie przez oddziały, wysłane na jego spotkanie, i aby mu dać zarazem potrzebne instrukcje i przyspieszyć połączenie się z armią, wysłał 23. lutego batalion piechoty i brygadę ułanów w stronę, skąd nadciągał Szachowski. My też nie zostaliśmy bezczynni. Dnia 24. lutego oddzielono z naszej armii jedną dywizję jazdy pod generałem Jankowskim z 3-cim batalionem 6-go pułku piechoty, bardziej dla obserwacji jego ruchów, niżeli do zawiązywania z nim bitwy, która wątpliwe nader przedstawiała następstwa w walce naszej garstki przeciw korpusowi, liczącemu wraz z posiłkami do 20 tysięcy ludzi.

Generał Jankowski dosięgł nieprzyjaciela pod Nieporętem w całej gotowości do marszu naprzód; ale nie będąc w siłach atakować go w tej chwili, ustąpił ku Kątom Grodzkim, gdzie pod Białoleką spotkał brygadę generała Małachowskiego z pierwszej dywizji, złożoną z 2-go i 6-go pułku piechoty z baterią 6 dział polowych, która tam przybyła o południu. Szachowski ostrzeżony przez rozkazy Dybicza, zmienił nagle swoją dyрекcyę i zamiast marszu na Kobyłkę, rzucił się w stronę Nieporętu, co utrudniało mu wielce jego połączenie się z główną armią, ale co z drugiej strony pomieślało szyki naszym strategikom.

Zarzucano już wówczas, nie bez pewnej racji, naczelnemu wodzowi wojsk polskich, że zastraszony mylnie, jakoby Szachowski miał zamiar uderzyć na Pragę, dał natychmiast rozkaz zasłonić drogę pomiędzy Białoleką i Pragą, zamiast zostawienia jej całkiem otwartą, a zajęcia Kątów Grodzkich. Tym bowiem sposobem zapewniłby sobie pozycyę niezmiernie mocną, mając w swem ręku: z prawej i lewej strony błotniste, prawie nieprzebyte rzeczki, lasy i bagna

wokoło. Gdyby brygada Małachowskiego zajęła była Kąty Grodzkie, mogłaby ona wówczas bronić i drogi, prowadzącej do Pragi przez Białolekę i dwóch innych, schodzących się w Grodzisku, z których jedna wiodła przez wieś Marki do głównej armii Dybicza, rozłożonej pod Grochowem i Kawęczynem, a zarazem grozić Szachowskiemu klęską, gdyby szedł na Pragę przez Białolekę, uderzając nań z boku w pełnym marszu jego korpusu.

Inaczej się stało. Szachowski — jak się pokazało później — nie miał wówczas w swem rozporządzeniu więcej, jak 15 tysięcy żołnierza i 60 armat, reszta jego korpusu została w Pułtusku i w Łomży. Generał Małachowski do postawienia przeciwko tym siłom miał — jakiegoś już mówili — dywizję jazdy generała Jankowskiego, jedną brygadę piechoty, złożoną z 6 batalionów, jedną baterię konnej i jedną baterię pieszej artylerii.

Jeden batalion 6-go pułku zajął Białolekę, jazda była rozwinięta po prawej stronie wioski Białoleki, ku stronie Kątów Grodzkich — po lewej zaś stronie tejsze wioski były uszykowane dwa bataliony 2-go pułku, dochodząc aż do przyległego lasu, którego brzegi były tego osaczone przez trzeci batalion tegoż pułku. Na tyle lewego skrzydła były dwa szwadrony Mazurów, a z tyłu Białoleki dwa bataliony 6-go pułku w rezerwie.

Bitwa się rozpoczęła około 3 godziny z południa. Szachowski skierował głównie swój atak na Białolekę, a chociaż po kilkakroć razy został odparty, w końcu jednak dzięki przeważnym siłom, zajmąwszy wieś, natychmiast rozsunął się po drugiej jej stronie i przypuścił szaloną szarżę swoich huzarów na bataliony Małachowskiego, rozwinięte pomiędzy wsią i lasem. Ale tam pułki te kawaleryi przyjęte należycie

przez naszą piechotę i artylerję, a nadewszystko przez dzielny batalion, osadzony na brzegu lasu, poniosły ogromną klęskę i w popłochu wróciły do wsi. Jednakże piechota moskiewska, mając po sobie siły przeważające naszych sześć batalionów i korzystając z otwartej luki, przez zajęcie Białoleki, parła się gwałtem i widocznie zaczęła nas naciskać, gdy wtem generał Jankowski bez żadnego powodu ustąpił ze swoją jazdą z pola bitwy i tym sposobem odłonił zupełnie nasze prawe skrzydło. Składał się on później tem, że gdy piechota rosyjska, odrzuciła nasz środek linii bojowej, jego pozycja była odcięta i zagrożoną silnie. Ale to tłumaczenie usprawiedliwić go nie może, bo właśnie dla ocalenia siebie i reszty wojska obowiązkiem jego było szarżować z boku, ile sił stało, moskiewską piechotę. Po ustąpieniu Jankowskiego zguba nasza była nieuchronną, a więc Małachowski, zmuszony ustępować, wykonał ten odwrót w największym porządku i krok za krokiem walcząc, szedł zwolna ku wzgórzom przed Pragą. Nagle na drodze, wiodącej od wioski Brudno pokazał się generał Krukowiecki z sześcioma batalionami piechoty 1-go i 5-go pułku i z 18 działami. Nieprzyjaciel zatrzymał się w swym pędzie, a że właśnie zmrok upadł, oba wojska pozostały na swoich pozycjach, gdzie i noc spędziły.

Nazajutrz 25. lutego przysły Szachowskiemu rozkazy od Dybicza, aby spieszył połączyć się z główną armią, a razem posiłki, to jest nowy oddział ułanów i brygada grenadyerów litewskich. Szachowski więc ze świtem ruszył do marszu, ale generał Krukowiecki spostrzegłszy to, rozkazał natychmiast atak na całą naszą linię i po krótkiej, wstępnej kanonadzie poprowadził nasze szeregi naprzód z takim impetem i z taką energią, że Białoleka znów się dostała w ręce 6-go pułku. Moskale ustąpili w wielkim nieporządku przez

Kąty Grodzkie, gdzie się znalazłszy na gruncie bagnistym i poprzecinanym rowami, byli na punkcie zupełnego rozbitcia.

Ale Krukowiecki po zajęciu Białoleki i odrzuceniu Moskali, zamiast iść w ślad za nimi, osądził za rzecz użyteczną rozdzielić swe siły w lesie i jedną część posłać ku stronie Kobyłka, a drugą ku Jabłonie, dokąd poszła dywizya Jankowskiego dla pilnowania tam przeredzin lasu, Tym sposobem zamiast zadać Moskałom cios stanowczy pod Grodziskiem, dozwolił im spokojnie wykonać odwrót.

Te dwa błędy — że poprzestanę na tem wyrażeniu — generałów Jankowskiego i Krukowieckiego, ocaliły od klęski korpus Szachowskiego. Poniósł on straty, zostawił w naszym ręku trzy działa; ale, jak zobaczymy zaraz, to ocalenie korpusu Szachowskiego było zgubniejsze dla nas od przegranej bitwy. Korpus ten bowiem szedł na pomoc swej wielkiej armii, podczas gdy nasze wojsko pozbawione zostało całej jednej dywizyi, która gdzieś odpoczywała w lasach, jak gdyby wszystko było skończone.

Ten błąd miał wpływ stanowczy na wypadek bitwy pod Grochowem 25. lutego i nic nie może usprawiedliwić Krukowieckiego — ani wymówka, że brak był porządku, ani też skargi na brak jakoby subordynacyi żołnierza; bo stare jego pułki nie znały tego. Żadna więc inna wymówka, jaka być mogła, nie zasłoni ani jego, ani Jankowskiego od słusznego potępienia wobec narodu. Jeden z nich ustąpił bez wystrzału z powierzonoj mu pozycyi, drugi rozprószył swe siły, jakby umyślnie, po lasach, w stronie przeciwnej od nieprzyjaciela, Sam zresztą spoczywał, zamiast iść krok w krok za nieprzyjacielem. Powinnością jego przecież było to uczynić, nawet gdyby nie słyszał grzmotu dział, bijących z prawej jego strony,



zwiastującego mu bitwę okropną, która toczyła się o ćwierć mili drogi od niego i którą taki wojskowy, jak on, człowiek, mógł łatwo przewidzieć.

Dybicz dowiedziawszy się, że korpus Szachowskiego był atakowany i przez jakie siły, postanowił przyspieszyć bitwę pod Grochowem, korzystając z rozdzielenia sił naszych. Z rana więc 25 lutego rozwinął w tym celu na linii bojowej wszystkie swe siły. Lewe jego skrzydło zajmował korpus Pahlena, z nim połączona 1-sza dywizya była uszykowana na szosie, a 2-ga i 3-cia nieco dalej na prawo, co stanowiło środek linii bojowej. Korpus Rozena zajmował prawe skrzydło, pomnożony 2-gą dywizją grenadyerów. Trzeci zaś korpus jazdy i gwardye były w rezerwie uszykowane za środkiem, 1-sza brygada ułanów i brygada grenadyerów litewskich, odesłana napowrót przez Szachowskiego, po jego szczęśliwym manewrze na Kąty Grodzkie, wróciła do armii przez Ząbki i wraz z sześciu pułkami jazdy była ustawiona z tyłu korpusu Pahlena. Każda dywizya, według zwyczaju Moskali, była uszykowana w dwie linie, równie jak i rezerwy.

Armia polska, osłabiona odejściem Krukowieckiego i Jankowskiego, opierała, jak przedtem, prawe swe skrzydło o Wisłę, 4-ta jej dywizya zajmowała Grochów i jego dość obronne pozycje; lasku Olszynki broniła dywizya generała Żymirskiego; Skrzynecki ze swoją dywizją był w rezerwie. Jazda polska, uszykowana w kolumny, zajmowała tył Grochowa, a część jej w pobliżu wsi Ząbki była na obserwacji pod komendą generała Umińskiego. Wieczorem 24. lutego armia nasza została wzmocnioną dwoma batalionami 20-go pieszego i jednym batalionem 19-go pułku, ale ten ostatni, w braku karabinów, uzbrojony był jedynie kosami.

W nocy z 24. na 25. lutego sapery nasze i mi-niery na wzgórzu wprost Kawęczyna i naprzeciw Ol-szynki wysypali niewielkie okopy, z których najwięk-szy stanowił redutę, przeznaczoną dla sześciu armat pozycyjnych, większego kalibru, niż nasze działa 12-funtowe. Bateria ta przysłała w nocy z Warszawy. Uzbrojona natychmiast reduta stała się nam wielką pomocą nazajutrz; bo gdy ona demontowała mo-skiewskie działa, stojące bez żadnej osłony, sama była niedosięgnięta od ich strzałów. Dwa mniejsze okopy, wznoszące się po prawej stronie tej reduty, nie były uzbrojone działami, ale przeznaczone w razie potrze-by na chwilowe schronienie dla piechoty. Drugi bata-lion 4-go pułku od 5 z rana, uszykowany przed tymi okopami, przeznaczony był do zasłonięcia robót już na ukończeniu.

Moskale, którzy 24. lutego nie widzieli w tej stro-nie żadnego działa polskiego, rozciągnęli linię swojej artylerii, po prawej stronie Kawęczyna z 19, a po le-wej stronie z 30 dział złożoną. Na lewym ich skrzy-dle, tuż za karczmą Wygoda i aż do karczmy Wawr, po prawej stronie szosy była rozciągniona linia 23 dział pozycyjnych, naprzeciw którym my nie mogliśmy postawić tylko 16 dział pozycyjnych, uszyko-wanych tuż przed Grochowem. Moskale więc na tym punkcie mieli nad nami przewagę tylko 7 armat; ale za to, jakieśmy widzieli na prawem skrzydle, mieli 49 dział przeciw naszym sześciu, ustawionym o jakie 250 sążni poniżej baterii w okopach.

---

## ROZDZIAŁ IX.

25. lutego. — Ostatni dzień bitwy pod Grochowem i ostatnie pokuszenie się Dybicza na Olszynkę. — Szarża Chłopiczkiego. — Generał Łubieński odmawia przyjść w pomoc. — Chłopiczki ranny. — Zajęcie Olszynki przez Moskali po krwawym, pięciogodzinnym boju. — Atak artylerii rosyjskiej i szarża całej ich kawalerii. — Prawe skrzydło polskie rozbite. — Środek i lewe skrzydło stawiają niezłomny opór. — Pole bitwy zostaje przy nas. — Nocny odwrót do Warszawy.

Okolo godziny 9 z rana Dybicz dał rozkaz swej armii rozpocząć bitwę. Zwrócił on naprzód główne swe usiłowania na lasek Olszyny, który — jak się mówiło — był kluczem naszej pozycji. Linia polska w tej stronie nie zajmowała więcej, nad ćwierć mili pola i lasu. Olszynka zamykała w sobie całe nasze lewe skrzydło i zakrywała wszystkie jego poruszenia. Dybicz więc nie mógł myśleć posunąć swe siły naprzód po szosie póty, póki lasek Olszyny był w polskim ręku; z tego zatem powodu zamknął on nas w półkole 49 dział swoich i posunął naprzód całe swe prawe skrzydło, to jest: dwadzieścia pięć batalionów piechoty i dziesięć pułków jazdy. Siła okropna i groźna dla małej garstki Polaków, ukrytych w lasku.

Była tam jedna bowiem tylko dywizya generała Żymirskiego, to jest: 3-ci i 7-my pułk liniowy (bry

gada generała Rolanda) z prawej strony i 2-gi i 4-ty pułk piechoty (brygada generała Czyżewskiego) z lewej strony. Dybicz rzucił na tę garstkę naprzód 24-tą swoją dywizję w całej swej sile, to jest: sześć pułków piechoty i cztery pułki jazdy; ale widząc, że bitwa się przeciągała, bez otrzymania żadnego skutku, posłał tam resztę lewego skrzydła, co podniosło całość atakującą do 25 batalionów samej tylko piechoty.

Ta pomoc świeżego wojska pozwoliła Moskałom zawładnąć nakoniec prawym bokiem lasku. W tejże samej chwili i kiedy generał Żymirski zagrzewał swoich do nowego ataku, rażony kulą armatnią w prawe ramię, spadł z konia, zabity na miejscu. Patrzyłem na to — był to strzał przypadkowy, ale nieszczęśliwy dla nas, bośmy walecznego stracili dowódcę.

Brygada Rolanda, wycieńczona stratą ludzi w jej szeregach, pod naporem sił tak przeważnych nieprzyjaciela, zmuszoną została ustąpić do drugiej linii. — Brygada zaś Czyżewskiego utrzymała swoją pozycję po lewej stronie lasku. Chłopicki, który rozumiał całą ważność tego punktu, postanowił odebrać napowrót prawą stronę Olszynki, choćby z największą ofiarą z naszej strony. Chcąc tego dopiąć, przywołał natychmiast 4-ty i 8-my pułk liniowy, to jest brygadę generała Bogusławskiego i rozkazał jej zająć utraconą pozycję. Oba te pułki poszły, biegnąc, do szarży. Byłem i ja w tej sprawie. Nasze starcie się z Moskałami w lesie było straszliwe — ale zapał i śmiałość naszych żołnierzy zwyciężyły wszelkie trudności, Moskałom nie mogli nam dostać długo, kto żyw, wynosił się z lasu i to prędzej, niż przyszedł. Zostaliśmy więc znowu panami obronnej Olszynki, ale nie bez strat, niestety! I szczęściem, że się ta sprawa dostała 4-mu

pułkowi, bo żaden inny nie byłby tak szybko dokonał tego.

Nie zapomniałem tej szarży całe moje życie!... Jak dziś pamiętam, szedłem naprzód obok kapitana Szpornego w chwili właśnie, gdy on coś mówił do mnie, jam się zakręcił w koło, jakby wrzeczono i już miałem upaść na ziemię, gdy wtem kapitan chwycił mnie z boku i zatrzymał na miejscu. Sam nie rozumiałem, co się ze mną stało i dlaczego kręciłem się ak w koło. Aż wreszcie kapitan spostrzegł, że mój kaszkiet z tyłu miał wydartą dziurę. Otwór ten był większy, niż w gnieździe jaskółki, ale z przodu, tuż pod orzełkiem i pod rzemiennym paskiem, pod którym jest wszyty daszek kaszkietu i na którym przymocowane są łańcuszki, były trzy małe otwory, może na cal jeden od drugiego — były to ślady kul karabinowych, które uderzając w kaszkiet z przodu, poczyniły małeńkie otwory, ale wychodząc raz od z tyłu, wydarły ogromną dziurę. Naturalnie, że ten kaszkiet na nic mi się już nie przydał, alem musiał go nosić aż do czasu, kiedyśmy weszli do obozu pod Powązkami, a z obozu do Warszawy.

Tymczasem w tej biednej Olszynie, zkądśmy wyparli Moskali, zawałonej ich i naszymi trupami, zalanej posoką krwi ludzkiej, powietrze było cuchnące i odrażające, jak w brudnych jatkach, fetor był nie do zniesienia prawie, a pozycja narażona na pokuszenie nowe nieprzyjaciół. — Dybicz nie mógł przełknąć tej zniewagi i takiej straty, jaką ponieśli Moskale w zabitych w Olszynie. Zdecydował się więc raz jeszcze rzucić się na tę pozycję, używając ku temu resztki 25-tej dywizji, wzmocnione nowymi siłami.

Znowu więc ogromne masy Moskali rzuciły się na tylko co zdobyty i tak drogo okupiony lasek — i pomimo wszystkich wysiłzeń walecznej brygady generała

Bogusławskiego, wparli się w jego obreby. W tejże chwili generał Neidhardt, wysłany z głównej kwatery Dybicza, biorąc komendę nad trzema pułkami: biało-stockim, nowoingermstadzkim i Kutuzowa, poprowadził je do ataku Olszynki. Ale pomimo przeważających sił nieprzyjaciół, cały lasek jeszcze nie był w ich ręku... Pułki Neidhardta, przyjęte kartaczami małego kalibru, zwinęły rozwarte swe skrzydła i z ogromną stratą pierzchnęły z placu. A generał Chłopicki na czele pułku naszych grenadyerów, prowadząc go chlubnie do szarży, zdobył na nowo cały prawy bok Olszynki — i 24-ta dywizya moskiewska, wyparta, ustąpiła z lasku w największym nieładzie i przestraczu, niosąc tem nieład wśród armii całej.

Generał Chłopicki wprawnem okiem starego żołnierza ocenił dobrze ten moment stanowczy działania, i dał rozkaz generałowi Łubieńskiemu przypuścić natychmiast szarżę na centrum linii moskiewskiej, gdzie zamieszanie wojska było powszechne, a sam tymczasem, w pogoni za piechotą moskiewską, prowadząc lekką brygadę 2-giej dywizyi, wpadł na armaty nieprzyjacielskie, biorąc je z boku, jak to już też sama brygada wykonała 19 lutego w bitwie pod Wawrem.

Ale generał Łubieński nie przyjął rozkazu przypuszczenia szarży na centrum moskiewskie, mówiąc, że nie sądził być rzeczą użyteczną uczynić to bez wyraźnego rozkazu naczelnego wodza, księcia Radziwiłła. Ten krok Łubieńskiego w jednej chwili zmienił całą postać rzeczy, bo Chłopicki, zostawiony sam sobie z jedną tylko brygadą, jakkolwiek poczynał sobie mężnie, podołać nie mógł przeważnym siłom. Ranny zresztą w nogę przez rozpękły granat, spadł z konia, a na dobytek wszystkiego, w tymże samym czasie dwaj najdzielniejsi sztabsoficierowie brygady, ci sami, co tak mężnie wiedli bataliony, zostali zabici. Ta rana Chło-

pickiego i śmierć tych dwóch oficerów, sparaliżowały wszystkie i przechyliły ostatecznie szalę na stronę Moskali.

Była już druga godzina z południa, a bitwa trwała od pięciu godzin bez przerwy. Dybicz w tej chwili posunął naprzód wszystkie swoje rezerwy i dwie świeże brygady grenadyerów uderzyły w sam środek lasu Olszynowego. Jednocześnie Szachowski, usunąwszy się, jakiegoś widzieli, z rąk Krukowieckiego i Jankowskiego, przybywał na pole bitwy i zaczął się wynurzać całą masą swojego korpusu z pod wioski Ząbki. Pozycja nasza, coraz bardziej zagrożona, stała się nie do wytrzymania w chwili, kiedy bateria moskiewska, z 40 dział złożona, zajęła pozycję z boku Olszynki, biorąc ukośnie wszystkie nasze kolumny, uszykowane za tyłem Olszynowego lasu.

Nakoniec to chlubne pole naszego męstwa w tym dniu pamiętym, ów lasek Olszynki, dostał się w ręce Moskalom! Wtenczas wyrównała się ich linia bojowa i rozciągnęła się na całej przestrzeni od szosy aż pod wieś Ząbki. Korpus Pahlena nieporuszony, zajmował zawsze dawne swe pozycje od strony szosy; korpus Rozena i 2-ga dywizya grenadyerów trzymały Kawęczyn i lasek Olszyny, w którym były prawdziwe ich jatki. Tam kupami leżały ich trupy, po kilku Moskali na jednym Polaku. Podobny widok nie musiał im być przyjemny, i choć weszli w Olszynę, widzieli przecież, ile to ich kosztowało. Reszta ich rezerw była ustawioną w tyle tego korpusu: grenadyery litewskie po prawej stronie Kawęczyna, a korpus Szachowskiego zbliżył się pod Ząbki.

Po odwoście z lasu nasze linie sformowały się szybko i stanęły na nowo frontem do nieprzyjaciela. Rozciągały się one teraz od Grochowa aż pod Ząbki dokąd brygada generała Rolanda poszła na posiłek generałowi Umińskiemu.

Dybicz miarkował, że przysła stanowcza chwila wymierzyć cios ostatni i postanowił go nam zadać ogromną masą całej swej kawaleryi. Zdawało mu się zapewne, że przeredzone, zmęczone walką zastępy polskie nie wytrzymają tej ostatniej szarży, że stratoswane, złamane, pierzchną w nieładzie pod natarciem jazdy, że przypartych do mostu, albo nas tam rozbiję, albo odetnie od Warszawy.

W tym celu na prawem swem skrzydle, a na lewym boku Olszyny, kazał ustawić 60 armat. Były to działa konnych baterij nr. 17, 18, 19 i 20 i jednej baterji pieszej pod komendą pułkownika Renną, a kiedy te działa otwarły na nas prawdziwie piekielny ogień, pod ich zasłoną tymczasem przygotowywano ową tę wielką szarżę kawaleryi a która, jak owa olbrzymiej pamięci kirasyerów pod Waterloo, miała pozostać bezskutecznem usiłowaniem do zwalczenia odwagi tych, którzy byli gotowi umrzeć za Ojczyznę.

Dywizye ich jazdy wysuwały się zwolna z po za Kawęczyna a zakryte laskiem Olszyny, uszykowały się na jego lewym boku, patrząc od strony Moskali, a na prawem, patrząc z naszej strony. Jak tylko cała ta masa, złożona z dywizyj kirasyerów (pułki księcia Alberta, nowogrodzki, storodobowski i św. Jerzego), mając na lewym skrzydle dywizję huzarów, na prawem dywizję ułanów, a w rezerwie, dla podtrzymania ich w każdym wypadku, cały korpus Pahlena zajął lewe skrzydło; prawe zaś trzymały brygada grenayerów litewskich i brygada 2-giej dywizji grenadyerów moskiewskich. Zamknięta w tak potężnych ramach piechoty, dobrze uzbrojona i na dzielnych siedząca koniach — ta masa kawaleryi była rzeczywiście narzędziem straszliwej potęgi. Za danem hasłem cała dywizya kirasyerów rzuciła się na szosę, a dywizya huzarów i ułanów pędziły przez pola.



Dywizya huzarów pierwsza dotarłszy do naszych szeregów, wpadła na 1-szy i 3-ci pułk naszej 4-tej dywizyi, te nie wytrzymały tego naporu, zmieszały się i zaczęły ustępować z placu. Bataliony, zruszone z miejsca, jedne rzuciły się ku Pradze, drugie były parte na bagna i jedna część ich nawet przeszła za Wisłę po lodzie, chociaż ten pod roztopionym śniegiem był już do-brzepodlizany. Ten wypadek sprawił, że całe nasze prawe skrzydło musiało ustąpić. Grochów był opuszczony, a zbiegi zaniosły niezmierny popłoch do Warszawy.

Szarża dywizyi ułanów moskiewskich nie poszła tak pomyślnie dla nich, jak szarża huzarów. — Pułk gwardyi ułanów wyprzedził wszystkie inne; ale na jego nieszczęście spotkał on się twarz w twarz z naszym 4-tym pułkiem liniowym, i tu wszystkie jego usiłowania do rozbicia naszych szeregów były bezskuteczne. Przyjęty rześistym ogniem i wytrwałą odwagą naszych, zasał on trupami ziemię i ruszył nazad galopem w nieładzie. Ja byłem w kolumnie i z chlubą pamiętam, że i moje strzały musiały się przyczynić w pewnej mierze do tak gorącego przyjęcia ułanów. Resztki tej dywizyi, pociągnięte nieładem gwardyjskiego pułku, nie miały już serca do powtórzenia tak drogo opłaconej próby.

Ale główny przedmiot tego ataku kawaleryi, była to szarża, wykonana przez dywizję kirasyerów wzdłuż szosy, prowadzącej od Wawru do Warszawy. Moskale pokładali na niej największe nadzieje; lecz stało się inaczej, i ta szarża była jeszcze zgubniejszą dla nich, niż szarża dywizyi ułanów. Prowadził ją na czele pułk księcia Alberta. Przedał się on dość śmiało przez zwykłe odstępy batalionów piechoty, uszykowanych w czworoboki na pierwszej linii, dotarł aż do oddziałów drugiej linii, gdzie sprawił trochę

chwilowego zamieszania, ale wpadłszy na batalion 8-go pułku, uszykowany w czworobok pod komendą majora Karskiego, przyjęty został tak pewnym i dzielnym ogniem rotowym, iż ten wnet oziębił cały jego zapal. Zmieszaly się osadzone na miejscu jego szeregi, a generał Kicki, korzystając z popłochu, przypuścił nań szarżę 2-go pułku ułanów, który, wpadłszy z boku, sprawił okropne zniszczenie i zmusił do ucieczki. — Pułk ten księcia Alberta, dziesiątkowany z obu stron w odwrocie przez naszą piechotę, co do nogi prawie wycięty został i cała ta masa kawaleryi, grożąca nam przed chwilą ostatecznem zniszczeniem, uszła haniebnie z placu i zniknęła, jakby jakie krwawe widzenie...

Gdyby w tej stanowczej chwili i po tym pogromie całej kawaleryi moskiewskiej nadeszły były na pole bitwy z 24 działami dywizye Krukowieckiego i Jankowskiego, jak to było ich obowiązkiem — jest wielkie podobieństwo, że dzień ten byłby się skończył naszym zupełnem zwycięstwem i odparciem całej armii Dybicza. Ale cały ten korpus pozostał nieczynnym aż do końca i tylko jedna brygada pod Gielgudem doszła wieczorem ku Ząbkom z trzema działami, i tak dzielnie wsparła z tej strony generała Umińskiego, który utrzymywał swe stanowisko bez szwanku przeciw całemu korpusowi Szachowskiego, że z tej strony waleczny Umiński nie ustąpił ani jednej piędzi ziemi.

Reszta dnia tego skończyła się strzałami artylerji z obu stron bez żadnego skutku. Strzał ostatni był z naszego działa i zaświadczył, że pomimo tak strasznej, tak nierównej co do sił walki — pole bitwy zostało w naszym ręku.

Na radzie wojennej, zebranej tego wieczora, generałowie Szembek i Skrzynecki radzili, z bagnetem w rękę całej naszej piechoty, wpaść na Moskali teje

samej nocy. Ale książę Radziwiłł i reszta wodzów oparli się temu żądaniu i rozkaz naczelnego wodza nakazał opuścić prawy brzeg Wisły, co też wykonaniem zostało w nocy z 25. na 26. lutego. Zapewne, prędzej czy później musiało to nastąpić, gdyż most na Wiśle był zagrożony zerwaniem przez krę już na rozpękaniu, i nasze wojsko nie mogło pozostać w tej niepewności wobec tak przeważnych sił nieprzyjaciela.

W tych starciach i bitwach z lutego 1831 r. wojsko polskie spróbowało sił swoich z moskiewską armią i dało miarę, czego można się było odeń spodziewać, jeśli będzie umiejętnie i odważnie prowadzone do boju. Bitwa, stoczona pod Grochowem, gdzie 120 tysięcy Moskali z 400 działami nie mogło zwyciężyć 35.000 Polaków, mających zaledwie 28 armat, dała jasny dowód, czego byli zdolni dokazać ludzie takiego hartu i takiej wytrwałości, prowadzeni przez zdolnych i odważnych wodzów. Było to cudowne narzędzie! brakło mu tylko, niestety, biegłej i wprawnej ręki, któraby umiała go użyć. Od początku wojny wojsko polskie poniosło wielkie i ciężkie straty. Liczba zabitych i rannych wynosiła około jedenastu tysięcy — była to trzecia część armii. Strata Moskali, według ich własnego wyznania, przechodziła trzydzieści tysięcy. A jeśli przypomnimy sobie tak długą bezczynność Dybicza po bitwie Grochowskiej, jego ciągle domaganie się nowych posiłków, jego do ostateczności prawie posuniętą ostrożność, przyjdziemy łatwo do przekonania, że ta liczba strat moskiewskich nie jest przesadzoną, i że wycieńczenie armii nieprzyjacielskiej musiało być wielkie. A my czyśmy umieli z tego korzystać? Niestety, powiedzmy sobie, że tu nawet i po szkodzie Polak nie był mędrszy...

## ROZDZIAŁ X.

Warszawa po bitwie Grochowskiej. — Mój powrót. — Dziwne spotkanie. — Awans i krzyż „virtuti militari”. — Komenda grzebania trupów pod Grochowem. — Moskale na przedniej straży.

Po bitwie Grochowskiej, 4-ty pułk był przez dni kilka w obozie 2-giej dywizji za Powązkami. Tam, po wypoczynku i zreorganizowaniu pułku i po zaprowadzeniu porządku, dano nam kwatery w stolicy pod przyjaznym dachem Warszawiaków.

Dziś, po tylu latach, kiedy przypominam sobie te olbrzymie zapasy naszego wojska, w których każdy pojedynczy żołnierz, każda jednostka zdawała się męźnić i nabierać nowych sił do walki — kiedy wspomnę, jak ciężka boleść ogarnęła nas wszystkich, rzucając to krwawe pole, na którym wszakże każdy z nas mógł się spodziewać jedynie znaleźć grób swój i swoich towarzyszy; dziwię się, żeśmy z takim spokojem wracali do stolicy i żeśmy tak pokornie ulegli rozkazom wyższemu. Dowodzi to jasno, że gdyby od dawnien dawna silna ręka trzymała nas na wodzy i umiała wdrożyć w posłuszeństwo i rygor, nie przyszlibyśmy nigdy do tej ostateczności, zginać kark hardy pod obcym jarzmem i na cudzej ziemi, w tułactwie i smutku pędzić życie bez celu i prawie bez nadziei.

Pierwszego, czy drugiego marca przechodziłem z moim sierżantem ulicą Świętogóorską, idąc do chałupy, przeznaczonej mi na mieszkanie, na Nalewkach. Naprzeciw bramy ogrodu Krasieńskich był tam dom wielki, a po prawej stronie wrót jego stał szuleraus żołnierski. Tuż obok szulerausu przez otwarte okna wyglądała młoda i miła panienka, a gdyśmy idąc trotuarem, zbliżyli się ku niej, przywitała nas serdecznie, mówiąc: „A, kochane czwartaki! dokądże to idziecie?” potem mnie pytała: czy ja byłem w Olszynie i co znaczy ta dziura z tyłu w kaszkiecie? i mówiąc to, włożyła trzy palce ręki w trzy dziury na przodzie pod orzelkiem kaszkieta i znów pytała ciekawie: „co to znaczy?” — „To jest znak mojego pobytu w Olszynie” — odpowiedziałem jej, śmiejąc się. — „Na włosku twe życie wisiało, czwartaku” — mówiła. — „A czemuż to masz twarz tak ciemną, brwi i włosy osmalone, czyś pan jest kucharzem kompanii?” — Byłem odziany w tej chwili tak, jak byliśmy w czasie bitwy, to jest: płaszcz na rękawach, pasy ładownicy i pałasza na krzyż przez ramiona i tłumok za plecami, mogła mnie wziąć łatwo za prostego szeregowca.

— Jam nie kucharz — odpowiedziałem jej z uśmiechem — ale komendant tego oddziału, co poszedł przed nami do kwater na Nalewkach, a że mam twarz zasmoloną, to od prochu z panewki, który mi również osmalił brwi i włosy. Aj! gorąco tam było, moja pani i dzięki Bogu, że człowiek wyszedł cało z takich opałów!

Biedna kobieta zakryła oczy chustką, bo miała je łez pełne, patrząc na nas i myśląc o tem, cośmy wycierpieli!

— Żegnam panią — powiedziałem i pospieszyliśmy za naszą komendą, która już stała przed bramą wielkiego domu, tuż naprzeciw rajtszuli naszej gwar-

dyi konnej artylerii. Tam miałem kwaterę przez dni kilka i tam po raz pierwszy przywdziałem mundur podporucznika i krzyż srebrny „virtuti militari“, który mi przypiął na piersi na placu Krasieńskich generał Bogusławski. Nominacja moja była z dnia 10. marca. Ale szef sztabu wręczył mi tymczasem zaświadczenie z numerem 446 krzyża, bo dokument na pergaminie miał mi być oddany później. Do dziś dnia chowam przy sobie to pierwsze świadectwo, chociaż mój krzyż ówczesny i krzyż kawalerski ukradziono mi w Irlandii na kolei żelaznej wraz z innymi rzeczami.

Krzyż i rangę podporucznika, z pozostawieniem w 4-tym pułku, dano mi jako nagrodę za moje małe czyny w Olszynie i za moją wyprawę z tyralierami, która tak skutecznie posłużyła do odpłoszenia kanonierów rosyjskich od baterii Rozena na prawym skrzydle, a później w odwrocie za wytrzymanie spokojne szarży jednego szwadronu ułanów.

Otóż będąc już oficerem, miałem pod komendą pluton 4-tej naszej kompanii. Dano mi wówczas kwaterę na Solcu, tuż w pobliżu dawnych koszar trzech pułków gwardii Konstantego, w której pozostałem przez cały czas mojego pobytu w Warszawie.

Dnia 30. marca miałem sobie poruczoną komendę, złożoną z 300 stróżów miejskich z łopatami, do których było przykomenderowanych kilku innych oficerów sztabowych i jeden trębacz na koniu. Otrzymałem rozkaz, ażebym szedł wprost na Pragę, z kąd pod eskortą oddziału jazdy i w asytcy wyż wymienionych oficerów sztabu prowadził tych robotników na plac bitwy pod Grochowem, gdzie mieliśmy pogrzebać kilka trupów, zostawionych dotąd na pobojuwisku i kilka zabitych koni ułańskich i kirasyerskich w owej sławnej szarży 25. lutego.

Gdyśmy przyszedli na odstęp karabinowego strzału od linii przednich straży moskiewskich, parlamentarz z naszej strony z trębaczem wyjechał naprzód i rozwiniąwszy białą chustkę na pałaszu, podniesionym w górę, trębacz dał sygnał, iż mówić żądamy. — Natychmiast wysypała się cała chmura Moskali, także z trębaczem, z parlamentarzem i z białą chustką na pałaszu, na przodzie. Po niejakiem czasie nastąpił układ, że na strzał karabinowy od forpoczt moskiewskich na całej linii możemy obejrzeć pole i pogrzebać trupów, jeżeli są jakie. Kilku oficerów rosyjskich podeszło do nas, myśmy im ręce podali, jako przyjaciółom na dwie godziny. Ja miałem we flaszcze, skórą obszytej, trochę miętówki, a w cyratowej torbie kawałek sera i bułeczkę montową; ofiarowałem im to uprzejmie, co oni przyjęli z radością, wypili miętówkę, a ser i bułeczkę rozdzielili pomiędzy siebie. Poczem pytali mnie: jakiej rangi byłem oficerem? Nie zrozumiałwszy dobrze i myśląc, że oni mnie pytają: czy jestem czynownikiem? (urzędnikiem) — odpowiedziałem: że nie. — „Da my znam, czto wy wsie czynownyje“! — mówili, śmiejąc się. — Ja zawsze w tem samem będąc nieporozumieniu, zaręczałem im solennie, że nic nie wiem o tem, jakiej rangi byli inni oficerowie tam przytomni. Po dwóch godzinach czasu, i po zakopaniu pięciu tylko, znalezionych na polobojowisku trupów, bo resztę już zagrzebali Moskale i kilku koni, o godzinie 11-tej wróciłem na Pragę, a ztamtąd do Warszawy.

---

## ROZDZIAŁ XI.

Bitwa pod Wielkimi Dębami. — Wyprawa nocna na obóz moskiewski pod Wawrem. — Moja komenda tyralierów 4-go pułku. — Częstunek Moskali na folwarku Buda Nowina. — Kapitan artylerji, Nieprzecki i przybycie sześciu wolontaryszów z Warszawy. — Baron Lewartowski i jego dziwna propozycja. — Zasadzka Moskali u mostu. — Opieka Opatrzności. — Wzięcie dwóch dział. — Sygnał odboju. — Nieposłuszeństwo moje. — Kapitan Dziewicki i zajęcie baterji moskiewskiej. — Cztery armaty i siedm jaszczyków dostają się w nasze ręce. — Wygrana. — Mój udział w tej potrzebie.

Teraz następują wypadki wojenne, w których przyjąłem już udział, jako oficer, a zatem mający większą odpowiedzialność i co do komendy i co do osobistego działania. Pierwsze tak ciężkie i tak trudne walki, które odbyłem, jako podoficer, zahartowały ciało i duszę. Czuję prawdę tych słów starego wojaka (pułkownika Druszkiewicza z czasów Jana Kazimierza), że żołnierzowi, który lubi wojaczkę, któremu ona w duszy wyrosła, proch wcale nie śmierdzi. — Czuję, że ten zapach mnie jakby upajał i że, jeśli taka będzie wola Boska, i ja potrafię może wypłacić pocziwie dług mój Ojczyźnie.

Owóż dnia tego (30. marca) wieczorem byłem w teatrze. Pomiędzy godziną 7. i 8. jakiś szelest stał



się wśród oficerów różnej broni, siedzących obok mnie w krzesłach na parterze. Widząc, że się zaczyna wynosić cichaczem jeden za drugim, żeby nie trwożyć publiczności, ja też wyszedłem za nimi. — W przedśionku zaraz odebrałem rozkaz, ażebym o godzinie 11-tej w nocy był z całym moim plutonem pod Złotemi Krzyżami. Wziąłem natychmiast dorożkę i w pół godziny byłem już w mojej kwaterze na Solcu. Zwołałem więc moich żołnierzy w całym pakunku i z bronią, obejrzałem pilnie ich ubiór, ła-dunki, skałki i wprost pomaszzerowałem zaraz na miejsce, wskazane do zboru wojska.

O godzinie 11-tej — jak było powiedziano w rozkazie, cały nasz pułk tam się zebrał. Miasto było zagrożone w spoczynku i ciszy, z naszej strony nie robiliśmy żadnego hałasu, komenda była dawana żołnierzom cicho i w szeptach tylko. W kilka chwil po zebraniu się całego pułku, ruszyliśmy sekcjami do marszu przez Bednarską ulicę na most. Zdziwiłem się niezmiernie, widząc, że cały most był wysłany słomą. Artylerya i wozy miały koła, obwinięte słomą, a więc turkotu i łoskotu nie było żadnego. Przeszliśmy tak most w milczeniu i stanęliśmy w kolumnach ścięśnionych na Pradze — było to już po 12. godzinie w nocy. Mgła spadła ogromna, noc była ciemna, tak, że o krok naprzód nie mogliśmy dojrzeć żadnego przedmiotu.

Nakoniec o godzinie 4-tej zrana ruszyliśmy z Pragi drogą, wiodącą do Wawru. Szliśmy bardzo powolnie, prawie krok za krokiem, bo z powodu mgły postępowaliśmy omackiem. Tak przyszliliśmy nareszcie pod Słup Żelazny, będący na głównej drodze z Warszawy do Miłosnej. — Był to pamiętny plac bitwy, gdzie kirasyerzy księcia Alberta o godzinie 3. z południa 25. lutego ponieśli straszliwą klęskę. Wtem od

strony Wawru dały się słyszeć strzały karabinowe, z początku rzadkie, następnie coraz to częstsze i silniejsze; widocznie toczyła się bitwa, ale myśmy wcale nie wiedzieli, że przed nami była już przednia linia, atakująca okopy moskiewskiego obozu. Było to już blisko 5. godziny z rana, a ciemność była zawsze tak wielką, żeśmy nic dojrzeć nie mogli przed nami. — Sformowani w kolumny do ataku, z niecierpliwością czekaliśmy rozkazu do marszu naprzód. Nakoniec dały się słyszeć wystrzały armatnie i ruszyliśmy na to wezwanie, przyspieszając kroku.

Ale w miarę, jak myśmy się przybliżali ku obozowi moskiewskiemu, strzały ręcznej broni zdawały się oddalać coraz i w głąb lasu zasiękać. Żołnierze zrozumieli zaraz, co się dzieje i krzyknęli: Moskale uchodzą! Zdwoiliśmy więc kroku i o godzinie 6. już byliśmy w ich obozie. Widocznie było, że Moskale nie wytrzymali pierwszego naporu i wynieśli się co prędzej do lasu, bo trupów i rannych było tam nie wiele. O godzinie 7., gdy mgła opadła na ziemię, co nam zwiastowało piękną pogodę, dzień był już jasny i mogliśmy dokładnie rozpoznać pozycję.

Za Wawrem, na samem wejściu do lasu, nasz pułk 4-ty zajął pierwszą linię bojową. Ja z tyralierami 2-go batalionu byłem wysłany naprzód. Miałem rozkaz iść lasem po lewej stronie drogi i oczyszczać go z maroderów moskiewskich. Rozsypałem natychmiast moich tyralierów we wskazanym kierunku, ale Moskale uchodzili tak szybko, że aż do godziny 9. z rana nie mogliśmy ich doścignąć. O 9. dopiero i na samem wyjściu z lasu, zobaczyliśmy kilka domów tuż przy małej drodze, wiodącej do szosy, która przechodzi przez Wielkie Dęby, była to tak zwana Buda-Nowina. Tam w dziedzińcu jednego z większych zabudowań spostrzegłem kupę Moskali, zebranych przy wielkim

cebrze, z którego jakiś jegomość w cywilnem ubraniu zajęty był niezmiernie czynnie rozdawaniem im — jak się nam zdawało z początku, wody. Kilka moich strażników wnet przyspieszyło ów szafunek i we dwie minuty ceber już stał samotny, a jegomość, prezydujący temu rozdawnictwu, zoczywszy nas, wychodzących z lasu, zaczął dawać sygnały białą chustką, abyśmy się spokojnie zbliżyli ku niemu. Kilku tyralierów szybko podeszło w tę stronę, aż on im z cebra zaczął rozdawać kwartą nie wodę, ale okowitę. Spostrzegłszy, co się dzieje, poskoczyłem natychmiast ku niemu, aby wstrzymać tak wielką hojność. A gdym mu wyrzucił, że zbyt liberalny, przed chwilą jeszcze częstował również Moskali, jakby ich przyjaciel, on mi na to:

— Czyniłem to z patriotyzmu, mospanie, żeby popić Moskali i tem wam zwycięstwo uczynić łatwiejszem.

Ja naturalnie widząc, że mój jegomość był to z głupia frant, nie wziąłem tego, jak mi on przedstawiał, i powiedziałem mu seryo:

— Mój panie, ruszaj, zkądeś przyszedł i to bez żadnej zwłoki, a nie, to cię natychmiast odstawić każę do sztabu!

Nie dał się też dwa razy prosić i zniknął mi z oczu. Pozwoliłem moim żołnierzom napić się wódki, ale po pół kryszki tylko z manierki, coby wystarczyło na cały batalion — i dalej naprzód.

Wyszliśmy zupełnie z krzaków i byliśmy na czystem polu. Zaraz sformowałem linię moich tyralierów, jakby na Saskim placu, po dwóch co piętnaście kroków i ten odstęp na całej linii sam znaczyłem. Linia tyralierów moskiewskich była po dwóch co pięć kroków i po dwóch jezdnych za nimi. Po sformowaniu dałem natychmiast sygnał całej linii: „Naprzód, awans

i ognia!“. Moskale ustępowali z wolna i tylko odwrotnym ogniem dokuczali mi trochę. Gdy wyszedł na najwyższą pozycję gruntu, przyszły mi w pomoc dwa sześciofuntowe działa pieszej artylerii, pod komendą kapitana Nieprzeckiego.

W tej chwili byliśmy o strzał armatni od wioski Dęby Wielkie. Kule 12-funtowe moskiewskie dochodziły do nas z dwóch punktów, które nieprzyjaciel wybrał umiejętnie. Na lewej stronie wioski, w okopanej baterii Moskale ustawili dział dziesięć 12-funtowych; następnie za stawem, przy samych budynkach dworu p. Jackowskiego, dziedzica Dębów Wielkich, umieścili dwa działa pozycyjne bez okopów; na prawem zaś skrzydle znajdowało się sześć dział pozycyjnych, te były wymierzone na las, rozciągający się na naszym lewym skrzydle, gdzie pułk 8. maszerował w sposób zajścia z tyłu Moskalom i gdzie dwa jego bataliony silnie napierały tyralierów i piechotę nieprzyjacielską.

Asekuracja moskiewskiej artylerii była ukryta w stodołach mieszkańców wioski, wznoszących się po lewej stronie baterii, urządzonej w okopach, które tak dobrze osłaniały ich jazdę i całą piechotę, iż z moich pozycji niepodobna było ich dojrzeć. Na głównej drodze, prowadzącej przez rzekę, był most, który musiałem przechodzić, aby się dostać na drugą stronę. Most ten był broniony przez 12 dział pozycyjnych i przez batalion strzelców, ukryty pod mostem i przez resztę piechoty, zasadzonej w stodołach. Kapitan Nieprzecki rzekł wówczas do mnie, że ma zamiar podsunąć się o pół strzału naprzód, gdybym ja z moim oddziałem chciał mu być eskortą; tym sposobem bowiem on mógłby dosięgnąć nieprzyjaciela. Zgodziłem się na to chętnie i powoli ruszyliśmy naprzód, kierując się w bok i jakby prostopadle do linii tyralierów

moskiewskich. Jak tylko doszliśmy na odstęp, żądany od Nieprzeckiego, sygnął on parę razy kartaczami wzdłuż ich linii i zaraz przerzedził ich jazdę, która nie czekając dłużej, zniknęła z placu, zostawiając za sobą ćmę tyralierów pieszych. Wielka bardzo ich liczba każe mi myśleć, że cały pułk jęgrów musiał być rozsypany w tyralierce. Lecz ogień ich, chociaż był gęsty, przecież nie bardzo szkodliwy, bo strzelali po największej części nie mierząc i na los szczęścia.

Było już około godziny 11. przed południem, gdy nadbiegł niejaki Biskupski, podoficer z plutonu mojej rezerwy, z wiadomością, że pięciu czy sześciu oficerów z Warszawy przyszło do tylnej straży, żądając wiedzieć, czy ja im pozwolę stanąć w naszych szeregach? — „Niech tu przyjdą“ — odpowiedziałem; albowiem będąc w asekuracji dział naszych, nie mogłem opuszczać mojej komendy. Jakoż przyszli niebawem. Byli to młodzi ludzie nowo zaciężni z 9-go pułku piechoty, nowej formacji. W granatowych surdutach, z pąsowymi kołnierzami, każdy z nich miał broń w ręku i ładownicę przez ramię, a żaden nie miał więcej nad lat dwadzieścia kilka. Młodzi ci patrioci byli wszyscy rodem z Litwy. Zapisuję tu ich imiona, chociaż z nich żaden już nie żyje; bo ich postępowanie było natchnione tak czystą miłością ojczyźnej sprawy i obowiązku, iż zasługują, aby ich pamięć zachowaną została potomności. Oto są ich nazwiska: Borski Romuald, Suzin, Patkowski, Jawojisz, Roźbiecki (ten był z kindząłem tureckim przy boku, gdyż był już w ostatniej kampanii tureckiej w wojsku rosyjskiem) i Zapasnik. Z powodu, że już służyli w pułkach moskiewskich oficerami, każdy z nich miał stopień podporucznika. Przedarli się oni do Warszawy przez tysiące niebezpieczeństw i trudów, narażając życie, bo schwytani, bez sądu byłiby karani śmiercią.

Skoro stanęli przedemną, Borski zabrał głos w imieniu swoich kolegów i oświadczył, że przychodzą jako prości żołnierze walczyć w szeregach 4-go pułku.

— Dobrze, moi panowie — odpowiedziałem krótko, chociaż głęboko dotknięty tak pięknym czynem. — Oto jest moja linia tyralierów na przodzie, możecie do niej wstąpić natychmiast.

— A to pan jesteś z 4-go pułku! Więc nasze życzenie spełnione...

— Szczęść Boże! — powiedziałem do odchodzących ochotników.

Weszli zaraz w linię tyralierów, prowadzili się odważnie i czynnie, i swoim przykładem dodali serca żołnierzom i podnieśli moralną siłę ich ducha.

Ja, chociaż nie miałem dotąd żadnej pomocy z tyłu, oprócz rezerwy tyralierów, po 24 za każdym plutonem w łańcuchu, bo nasze bataliony, idąc zwyczajnym marszem po szosie, nie mógł tak szybko zdążyć za nami, cośmy szli prosto przez las; miałem przecież nieprzełamaną chętkę przejść na drugą stronę rzeki, i dlatego posunąłem naprzód moich tyralierów ku mostowi dla obejrzenia pozycji mojego awansu. Otóż zaledwem wstąpił na najwyższy punkt drogi, znalazłem tam leżący na ziemi karabin moskiewski nowy i nabity. Widocznie nie był on jeszcze ani razu w ogniu, czysty jak lustro, błyszczał na słońcu. Podniosiłem go z ziemi i rzekłem do podoficera mojej komendy, którym był niejaki baron Ludwik Lewartowski z Galicji; ten, lubo już odbywał kampanie we Włoszech i był porucznikiem w wojsku austriackiem, wszedł na prostego żołnierza do 2-go batalionu 4-go pułku.

— W ataku na piechotę ten karabin w rękę lepiej mi się przyda od pałasza. — I wsunąłem mój

pałasz do pochwy, a obejrzawszy skalkę i proch na panewce, spuściłem broń do nogi.

W tej chwili byliśmy już tak blisko mostu, że strzały karabinowe przenosiły go za naszą linię. Lewartowski, którego po raz pierwszy widziałem, jako podoficera w oddziale tyralierów, stał przodem zwrócony do mnie, a tyłem do nieprzyjaciela; ja zaś, oparty prawą ręką o głowę bagneta, a lewą trzymając rękojeść pałasza, stałem w pośród drogi, uważając na ruchy Moskali, będących za rzeką. Biskupski, podoficer, mój trębacz i dwóch żołnierzy z mej osobistej straży, jak zwykle przy oficerze tyralierów, byli tuż przy mnie. Wtem kilka strzałów, dobrze wymierzonych, wypadło na nas z pod mostu. Ja dostałem trzy strzały w mój pałasz, który był w pochwie przy boku i to był istny cud Boży — bo gdybym był trzymał pałasz w ręku, jak pierwiej przed wzięciem karabinu, kula, która mnie uderzyła w lewe biodro, przeszłaby była przez pochwę i mnieby przestrzeliła na wylot. Strzał drugi urwał mi ochronę od rękojeści pałasza, na której miałem opartą lewą rękę; a trzeci obciął skówkę mosiężną u pochwy na końcu pałasza. Baron Lewartowski dostał też trzy strzały, ale z tyłu w tłumok, a że tam przez spakowaną bieleznię kule przejść nie mogły, to go ocaliło. Biskupski też, trębacz i żołnierze, każdy dostał po strzale, ale bez szkody i żaden z nas nie był ranny.

Strzał, który mnie uderzył w biodro, był najcięższy. Impet kuli był tak wielki, iż znalazłszy opór stali w pochwie, pół kuli spłynęło na zewnątrz pochwy, jakby ołów roztopiony w ogniu, a druga jej połowa została tak mocno wlepiona w mosiężną skówkę, tuż przy rękojeści, iż czarna szrama została w wydrążeniu tej skówiki. To pokazuje, jak silny jest impet strzału, kiedy uderzenie kuli w twardą powierzchnię

stali sprawia tak wielkie gorąco, że ołów topnieje, jakby na ogniu.

Strzały te przecież nie strwożyły nas bynajmniej. Ja będąc uderzony w bok kulą, tak się pochylilem w lewą stronę, że gdyby Lewartowski nie był mnie pochwycił prawą ręką, byłbym niezawodnie upadł na ziemię. Niceśmy nie mówili do siebie, dziękując w duchu Bogu za tę jego cudowną łaskę; bo chociaż każdy strzał moskiewski był celnie wymierzony, żaden z nas nie padł, a nawet nie był raniony.

Cała myśl moja była teraz zwrócona ku temu, jakby tym ptaszkom, siedzącym pod mostem, odpłacić w dwójnasób za tę niespodziankę? Aby się rozpatrzyć w naszym położeniu, zesłiśmy więc z drogi na prawą jej stronę, gdzie wysokość wysypu zasłaniała nas od artylerji i od strzałów ze strony mostu. Tu mi się wydarzył dość dziwny wypadek, o którym nie chcę przemilczeć. Baron Lewartowski przystąpił do mnie i z wielkim animuszem:

— Panie komendancie! — powiedział — wiedz, żem ja człowiek doświadczony, wiekiem nieledwie dwa razy starszy od ciebie; byłem już w wielu potyczkach i bitwach, lecz tak zimnej krwi, jaką pan masz, nigdy jeszcze nie widziałem! Mam córkę jedynaczkę, kocham ją nad życie — na tym placu bitwy, jako ofiarę wdzięcznego serca, oddaję ją panu. A jeśli cię Bóg przy życiu do końca wojny zachowa, będzie twoją małżonką, ze stosownym do jej urodzenia posagiem.

Zdziwiony i wzruszony głęboko takim wystąpieniem tego zacnego człowieka i w takiej chwili, podziękowałem mu serdecznie za tyle honoru i łaski. Ja, biedny podporucznik, miałbym zostać zięciem barona, magnata Galicyi? Było to za wiele szczęścia, a wyglądało tkliwiej, niż najlepiej wymyślony romans.



Tymczasem chodziło tu o inne wcale gody, na które byliśmy proszeni — trzeba było odpłacić Moskałom za oszpeccenie mojego wiernego pałasza i za podziurawienie tłumoka mojego przyszłego teścia. Rozpatrzywszy się więc należycie, odkryłem siedlisko Moskali pod mostem; a korzystając z tego, iż byli właśnie pilnie zajęci strzelaniem do dwóch dział Nieprzeckiego, zaszedłem im cichaczem z boku i tak ich dobrze zażyłem ogniem moich tyralierów, że pochwyceni z nie-nacka, nie dotrzymali miejsca, i jedni rzucili się do rzeki, a drudzy podążyli na most, gdzie powitani strzałami kapitana Nieprzeckiego, zostawili kilku ze swoich zabitych i rannych, a reszta uciekła do kolumn, stojących za stodołami. A było tam: 18 batalionów piechoty, z których dwa były ukryte w stodołach, 10 szwadronów jazdy w ścięśnionych kolumnach, gotowych do ataku, i 18 dział pozycyjnych we froncie.

Po wypłoszeniu Moskali z pod mostu, oczyściłem już całą tę stronę rzeczki, płynącej pomiędzy nami i korpusem Rozena, który był cały ukryty za wsią Dęby Wielkie. Moja więc rola na chwilę była skończona. Siły nieprzyjacielskie były rozłożone w części po lewej stronie szosy, wiodącej do Siedlec, a po prawej stronie za budynkami dworu — oddzielały je od nas: błotnista rzeczka i staw, przez który ta rzeczka przechodzi, most wielki na szosie i mniejszy na drodze, prowadzącej do wioski.

Nareszcie o godzinie 2. z południa nadsięgnęła nasza brygada, to jest: trzy bataliony 8-go pułku, które atakowały prawe skrzydło Rozena w lesie, sześć armat, ustawionych pod lasem i trzy bataliony 4-go pułku — te ostatnie stanęły naprzeciw baterii moskiewskiej w okopach. 1-szy batalion 4-go pułku zajmował prawe skrzydło naszej linii bojowej i zachodził

Moskałom od tyłu, tam właśnie, gdzie oni nie mieli ani artylerji, ani nawet tyralierów, bo cała ich uwaga była zwrócona w stronę mostów, których strzegli starannie i na działanie moich tyralierów.

Skoro spostrzegłem, że wszystkie nasze siły wystąpiły na linię bojową, i że tył mój był należycie zabezpieczony, zebrałem moich tyralierów i postanowiłem przerznąć się przez ogień dział baterji morskiewskich i zaatakować dwie armaty, stojące pod dworem. Dzielily mnie wprawdzie od nich staw i rzeczulka, ale raz jeden dostawszy się na drugą stronę, mogłem je dosięgnąć moimi strzałami. Cała więc rzecz zależała na tem, jak tu się przerznąć przez ogień dzieściu dział, które o sto sążni odemnie mogły nas osypać kartaczami i wystrzelać co do jednego?

Z Boskiego widocznje zrządzenia przysła mi myśl następną: uformowawszy moich tyralierów w maleńką kolumnę, puścić się biegiem naprzód, z bronią spuszczoną i pochyleni ku ziemi, a na pierwszy błysk lontu przy zapale armaty cały oddział miał się rzucić płazem na ziemię i tym sposobem uniknąć przelotu kartaczy. Dałem więc zaraz taką instrukcyę moim żołnierzom: na moją komendę „w dół wiara!“ każdy natychmiast plackiem powinien paść na ziemię — a na komendę „naprzód!“ znowu chyłkiem biedz za mną. I tym sposobem rzeczywiście przedarłem się bez straty żadnej przez tę paszczkę, ziejącą kartaczami, po sto dwadzieścia w każdym naboju. Ale tak moje oko było pilne i bystre, że m zdążył upaść na ziemię zawsze w samą porę i tylko szum i zgrzytanie kartaczy słyszeliśmy nad nami. Jeden raz na zewnątrz ognia tej strasznej baterji podsunęliśmy się pod dwa działa, będące za stawem. Na nie to zaraz skierowałem strzały moich tyralierów i w krótkim bardzo czasie kano nierowie opuścili działa i głos ich zamilkł zupełnie.

Gdy się to działo, podporucznik Dobrski z 1-go batalionu nadszedł tam ze swym oddziałem z innej strony — było to już blisko 3-ciej z południa. A my szukając drogi, trafiliśmy przypadkiem na niewielki mostek, zbudowany na tej rzeczulce za kanałem dla przechodu bydła i owiec, pędzonych na paszę. Rzuciliśmy się więc pędem i przeszedłszy ten mostek, ominęliśmy owe dwa działa pozycyjne, zostawione bez artylerzystów i dalej ku wiosce za szosę.

Tymczasem całe nasze wojsko, jak mówiłem, uszykowane kolumnami w dwie linie, stało na otwartym polu pomiędzy lasem i rzeką. Zajęty moją tylko myślą i tem, co miałem przed sobą, nie oglądałem się wcale, pewny będąc, że mam za sobą dobre plecy. Aż tu słyszemy sygnał, zatrabiono „odbój!“, to jest rozkaz zaprzestać ataku na wioskę. Sygnał ten trębacze powtórzyli natychmiast na całej linii. Słyszając to, spojrziałem za siebie, a tam, gdzie o 11. z rana ja byłem z moją komendą, stały nasze kolumny w porządku. Naczelnym wódcą nie wiedział widoocznie, że garstka naszych już była za rzeką, pod wsią.

Kiedym posłyszał tę komendę „odboju“, wściekałem się ze złości. Jak to — myślałem sobie — mamy zwycięstwo w ręku i wydierają nam je z tak lekkim sercem? Ale nie namyślając się długo, mój trębacz, niejaki Moczulojtin, Litwin, stary żołnierz, mający lat dziesięć służby, był przy mnie „Trąb: awans wszystkim tyralierom!“ — powiadam mu.

A on, wytrzeszczywszy zdziwione oczy wobec moich podoficerów:

— Bój się Boga! — odzywa się — panie poruczniku, a co powie naczelnym wódcą, że jego rozkaz zmieniamy?

— Trąb awans i ognia! — powtórzyłem surowo. Jam twój komendant i ja za to odpowiem! Ale proszę o tem ani słowa nie pisać po bitwie — dodałem, obracając się do podoficerów.

Byłem pewny siebie i pewny, że działa, będące w bateryi, dostaną się w nasze ręce, bośmy je zachodzili z tyłu. Moskale, będąc przekonani, że nasze bataliony nie mogą przejść za bród dosyć szerokiej i głębokiej rzeczki, strzelali ciągle do naszych kolumn, nie troszcząc się wcale o resztę. Most główny był rzeczywiście nie do wzięcia, a o tym mostku za kanałem dla bydła i owiec, który ja i kapitan Dobrski jużśmy szczęśliwie przeszli, nie wiedzieli zapewne.

— Trąb awans i ognia! — krzyknąłem raz jeszcze. Ozwała się trąbka i wnet cała linia tyralierów powtórzyła mój sygnał i wszyscy nowym ożywieni duchem, rzucili się naprzód.

Lecąc pędem z moimi, zbliżyłem się do szosy. tuż przy moście za stodołami. Ale nagle spostrzegłem, idąc w bok od dworu, jakiś oddział naszej piechoty, ukryty za rowem. Skoczyłem natychmiast ku niemu — był to kapitan Dziewicki z kompanią 1-go batalionu.

Ja do niego:

— Kapitanie! na miłość Boską daj mi ludzi, a wezmę zaraz oto te działa w bateryi!

A on mi na to z gniewem:

— Dyabli cię wezmą pierwej! Stracisz ludzi i nic nie zrobisz — nie dam ani jednego żołnierza!

Wtem jeden z podoficer jego kompanii, niejaki Cziaczko, podszedłszy do mnie, powiada:

— Panie poruczniku, spróbujmy na ochotnika, kto pójdzie!

— Wiara! na ochotnika! — krzyknąłem — za mną! a działa będą nasze!

Natychmiast ze czterdziestu ludzi stanęło przy mnie.

— Naprzód wiara do wioski! — huknąłem — przez szosę! — I jak wichur rzuciliśmy się do stodoł, z kądem przez szpary Moskale ukryci, dali do nas ognia i zaraz jeden z dwóch żołnierzy mojej straży i kilku innych zostali zabici; ale tymczasem ja już byłem pod stodołami. Szturmowałem we wrota i dałem rozkaz moim zapalić stodoły. Przyłożono natychmiast kilka łuf do słomianego dachu i wystrzelono, ale że słoma była wilgotna, ogień nie wybuchnął wcale. Jednakże Moskale, ukryci wewnątrz, bojąc się, byśmy ich nie upiekli żywem, wyparli boczne wrota stodoły i jak barany hurmem rzucili się uciekać ku swoim kolumnom. Ostatnia więc zapora była złamaną, byliśmy już z tyłu baterji prawie.

— Dalej, do dział wiara! — krzyknąłem.

Tu mi się wydarzył wypadek, o którym wspomnieć należy. Gdy wpadłem na działa, stojące na lawetach, zdawało mi się, że już tam nikogo nie było; wtem słyszę, jeden z mej straży woła: „Reta!“ — obejrzałem się w tył, aż oto za mną oficer moskiewski, ukryty za jaszczykiem, z podniesionym pałaszem gotuje się pchnąć mnie w plecy. Odbiłem jego pałasz moim, i cios wymierzony poszedł szczęśliwie bokiem, a w tejże chwili żołnierz, który mnie ostrzegł, pchnął go bagnetem z tyłu i powalił na ziemię. Jam ruszył dalej.

Ale szwadron ułanów litewskich, będący w asekuracji tej baterji, widząc, co się dzieje, rzucił się na nas z wielkim animuszem. Nie mając żadnej obrony przeciw tej szarży, prowadzonej — muszę tu przyznać — odważnie i śmiało, rzuciłem się na grunt grzęzki, znajdujący się z lewej strony baterji, i uformowałem mój oddział w kupki tyralierskie, kazałem dać

ognia do zbliżających się ułanów, mierząc w łeb koni. Dnia 19. lutego pod Grochowem, kiedyś atakował baterię z 60 dział złożoną, ciż sami ułani atakowali mnie wówczas, jak dzisiaj — i jak dzisiaj w tył ich odparłem. Konie ich grzęzły w błocie, ogień moich tyralierów ich dziesiątkował, zwinęli się na miejscu, jak stado wróbli spłoszonych, i rzucili się nazad ku swoim.

Podczas kiedyśmy się bronili od tej szarzy, kilka dział zdołało się wymknąć z baterii, chociaż nie uszły z rąk szaserów Czarnomskiego z dywizji Skarzyńskiego, która im tył zajęła. Bo gdy piechota i jazda moskiewska ustąpiły za wieś ku szosie, tam wpadł na nich ze swym pułkiem Skarzyński, rozbił ułanów i wziął działa, które uszły rąk naszych. Pozostały więc nam w baterii cztery działa na lawetach i siedm jaszczków z ładunkami.

Była już godzina 4. z południa. Jam rozstawił moich tyralierów na przednich strażach, a sam siadłem odpocząć chwilę na lawecie jednej armaty. Wtem przybył do baterii kapitan Dziewicki i na wpół z drwinkami powiedział:

— A gdzie są twe działa?

— Patrz kapitanie! — rzekłem, biorąc go za rękę — oto jest jedno, na którym siedzę, siadaj na drugim obok, siadaj na trzecim lub czwartym, a oto siedm jaszczków w dodatku!

— A no, to dobrze, pójde zaraz zameldować pułkownikowi o twojej zdobyczy.

— Ale — powiedziałem — porachuj dobrze kapitanie i nie zapominaj o tych dwóch działach, które zostały pod oficynami dworu. Niech przyszlą konie do zabrania ich zaraz, aby Moskale nie przyszli po nie nazajutrz.

Odszedł tedy Dziewicki, ja znów usiadłem na ławeczce, ale tak byłem znużony nieustanną pracą od 4. z wieczora do 4. zrana 30. marca i przez dzień cały 31. marca aż do 4. wieczór, bez pokarmu i bez kropli wody, żem się nie mógł utrzymać na nogach. Wtem nadszedł poczciwy Dobrski i przyniósł mi w kryszce od manierki trochę wody, zbełkotanej przejściem jazdy moskiewskiej, która mi się wydała przecieź prawdziwym balsamem, bom mógł odwilżyć zeschłe i spalone usta. Prosiłem, aby mnie zmieniono, bo sił mi brakło do dalszych trudów; jakoż niebawem nadeszła zmiana. Kapitan Dziewicki opisał stan rzeczy, a pułkownik natychmiast dał rozkaz do przedsięwzięcia należytych środków. Żołnierze moi poszli więc zaraz do ognisk, a ja pociągnąłem do dworu. Niestety, była to ruina — ani drzwi, ani okien nie zostało na miejscu. Kanapy, krzesła, stoły, wszystko było połamane i potłuczone przez Moskali, a w sali wznosił się ogromny stos zniszczonych mebli. Jednakże znalazłszy tam jakiś kawał obitej deski od sofy, położyłem się, jak mogłem, na niej. Zasnąłem wkrótce i spałem, jak zabity do 5-tej godziny z rana. Poszedłem wówczas do kolumny, aby się ogrzać nieco u ognisk, ale pokarmu nie znalazłem żadnego.

Na tem kończę moje opowiadanie o bitwie pod Wielkimi Dębami. Słówko dodam jeszcze tylko o moich ochotnikach Litwinach. Z sześciu, czterech było rannych: Patkowski i Suzin ciężko, zaś Jawojz i Rozbiecki lekko. Mój przyszły teść, baron Lewartowski, był także ranny, alem go od tej chwili nie widział, aż dopiero w r. 1832, gdym go spotkał w Avignonie, zkąd on się udał do Algierji, do legionu cudzoziemców. Co się z nim potem stało i z moją narzeczoną z pola bitwy — nie wiem.

Ten opis bitwy pokaże jasno, jaki był w niej mój udział; chociaż na razie nie rozgłaszałem tego z obawy, aby za złamanie rozkazu naczelnego wodza nie pociągano mnie do odpowiedzialności. Pomimo to albowiem, że bitwa była wygrana, że dwanaście dział było zabranych Moskałom, podług praw wojennych ja mogłem być uważany, jako przestępca, łamiący rozkaz wyższej wojskowej władzy. Zresztą z duszy i serca kochałem generała Skrzyneckiego. Cała chluba wygranej należała się mu zapewne — a mały dowódca tyralierów 4-go pułku ginął w tym blasku, co otaczał naczelnego wodza. Ale dziś, po tylu latach, kiedy mi nikt należnej sprawiedliwości nie oddał, niech mi wolno będzie powiedzieć, że *pars mea magna fuit*, że bataliony nasze przyszły, kiedy ja już byłem panem dwóch armat za stawem, i że ja, wyprzedzając wszystkich, z moją garstką czwartaków, pierwszy się wparłem do wielkiej baterii o dziesięciu działach.

---



## ROZDZIAŁ XII.

Śmierć Dybicza — Paszkiewicz przyjmuje naczelne dowództwo — Jego przeprawa przez Wisłę pod Nieszawę. — Wyprawa partyzancka w Kaliskie. — Nasza organizacya. — Przybycie do Koła. — Pułkownik Peszyński ze swym oddziałem Mazurów. — Wyprawa nocna na Knoringa do Kłodawej. — Niespodzianka. — Nasza pogoń za Knoringiem. — Potyczka pod Kołem — Niefortunne powodzenie Peszyńskiego. — Powrót do Koła. — Śmierć Żandrowicza i Żymańskiego. — Moje dowództwo. — Kapitulacya Warszawy. — Potyczka pod Kaliszem i wejście do Galicyi.

Łaskawy czytelnik, który mnie z 4-tym pułkiem liniowym widział od początku we wszystkich potrzebach, zaczawszy od Zakrzewia i Dobrego, aż do Wielkich Dębów, niechaj się nie dziwi, jeżeli tu nie wchodzę w opis innych bitew, w których brałem udział. Czynię to dlatego jedynie, że działanie moje w tych bitwach ograniczało się do spełnienia prostego obowiązku oficera polskiego, jaki każdy z nas miał włożony na siebie, bez żadnego szczególnego odznaczenia się, bez żadnego osobistego, wybitnego przyczynienia się do zwycięstwa.

Byłem pod Rutkami, byłem pod Iganiem 10. kwietnia i 27. pod Mińskiem, byłem 26. maja pod Ostrołką i wszędzie, jak każdy z moich kolegów, byłem

tylko pierwszym żołnierzem w szeregu. Powiadam, pierwszym, nie dlatego, abym się uważał za lepszego od tych skromnych towarzyszy, których poświęcenie i waleczność są wyższe nad wszelką pochwałę ludzką, ale dlatego, że jako dowódca miałem podwójną odpowiedzialność, za nich i za siebie. Za nich, bom winien był ich zagrzewać i utrzymywać na drodze poświęcenia za Ojczyznę! Za siebie, bom powinien był stać się dla nich przykładem tego poświęcenia, nie tracąc nigdy z przed oczu tych słów księcia Józefa Poniatowskiego: „Bóg mi powierzył honor Ojczyzny, Jemu go oddam!”

Byłem więc we wszystkich bitwach. Ozdobiony z kolei krzyżem srebrnym i krzyżem kawalerskim „*Virtuti militari*“, mogę śmiało powiedzieć, że spełniłem wiernie powinność moją, a że opis tych bitew był już nieraz podany przez naocznych i nienaocznych świadków, zostawiam go na stronie, a powiem jeszcze słów kilka o wyprawie partyzanckiej w Kaliskie, w której byłem i uczestnikiem, i dowódcą.

Po bitwie pod Ostrołęką, pułk 4-ty stał parę tygodni pod Modlinem, organizując się i dopełniając poniesione straty. Tymczasem po śmierci Dybicza, Paszkiewicz objął główną komendę wojsk rosyjskich. Widząc on, że opanowanie Warszawy od strony prawej Wisły połączone jest z trudnościami, których pokonać nie był pewnym, postanowił ze zgodą rządu pruskiego, przenieść na lewy brzeg Wisły wszystkie operacje wojenne swej armii, a następnie zmienić całą taktykę prowadzonej wojny. Wskutek tego most, rzucony pod Nieszawą, dozwalał mu przejścia przez rzekę i oddawał mu w ręce prawie pewne zwycięstwo.

Czy dlatego, że ten plan był utrzymany w wielkiej tajemnicy — czy też wskutek trudnych komuni-

kacyj, wiadomość o tem nie przyszła w porę do Warszawy, dosyć, że naczelny wódz wojsk polskich dowiedział się wówczas dopiero, kiedy już wszystko było gotowe do tej przeprawy Moskali przez Wisłę. Przecież i w tym nawet razie, zamiast korzystać umiejętnie ze zrzeczności, iść trop w trop za Paszkiewiczem, czekać, nim połowa jego armii przez most się przeprawi, a wówczas wpadłszy nagle całemi siłami na drugą połowę, rozbić ją i zniszczyć most rzucony, naczelny wódz nasz pozostał beczynnie na miejscu, a tylko wyprawił na spotkanie nieprzyjaciela na lewy brzeg Wisły tak szczupły oddział, iż ten żadnego oporu stawić nie był w stanie.

Oddział ten, była to komenda partyzancka, złożona z 450 żołnierzy piechoty i z 50 jazdy, pod dowództwem majora Żandrowicza, który przyjął komendę z warunkiem, iż sam wybierze oficerów do tego oddziału. Otóż pomiędzy niewielu wybranymi, byłem i ja, jako zdolny oficer, choć jeszcze brzytwy broda moja nie znała. Przeznaczeniem naszym było iść ku Nieszawie i bronić przejścia Moskałom przez Wisłę wówczas, kiedy już ich kilka tysięcy było przeprawionych na lewą stronę.

14. sierpnia 1831 roku wyszliśmy z pod Modlina. Ale wprzód, nim ruszyliśmy do marszu, major Żandrowicz zwołał wszystkich oficerów przed front batalionu, wyznaczył każdemu jego posterunek, i dał jasne, należyte instrukcje. Rozdzielił swój oddział na dwie kompanie. 1-sza była strzelców, i kapitan Hubert, dawny legionista, objął jej komendę, z dodaniem mu dwóch młodych oficerów; mnie Żandrowicz powierzył kompanię 2-gą fizyliarów z dwoma oficerami, jak w pierwszej kompanii. W oddziale znajdowali się jeszcze: chirurg (jakiś Niemiec), adjutant, kwatermistrz i kapitan Witalski, dawniej legionista, który był do-

wódcą jazdy, z oficerem w randze podchorążego, na koniec felczer, z małą apteczką w tłumoku.

Oto jaki był skład naszego sztabu i wykaz imienny oficerów:

Bonawentura Żandrowicz, major 4-go pułku piechoty, dowódca całego oddziału.

Hubert, kapitan, dowódca 1-szej kompanii strzelców; Rajmund Zabielski, podporucznik, i Luc, również podporucznik.

Ręczyński Jerzy, podporucznik, dowódca 2-giej kompanii fizylierów; Malczewski Władysław, podporucznik; Bobrowski, podporucznik.

Witalski, kapitan, dowódca jazdy; Skarzyński, podchorąży; Żymański, porucznik (z pruskiej służby); adjutant oddziału Markowski, porucznik, kwatermistrz.

Doktor, Niemiec, którego nazwiska nie pomnę.

Felczera czy aptekarza nazwiska też nie pamiętam.

Imion starszych sierżantów nie pamiętam; pomiędzy podoficerami byli: Świdziński, rodzony brat uczonego bibliografa i Marciniuk. Przytem było jeszcze kilku ochotników, studentów z wyższej klasy, a między nimi był Chłapowski, syn czy brataniec generała tegoż nazwiska.

Nie będę trudził czytelnika długimi opisami różnych szczegółów podczas naszego marszu przez puszcę Kampinowską, największą po Białowieskiej puszczy. Iść pod Nieszawę już było zapóźno, blisko albowiem trzydzieści tysięcy Moskali było już na lewej stronie Wisły. Szliśmy więc ku stronie Kalisza, ażeby bronić tę okolicę od maroderów i małych oddziałów moskiewskich furazujących. Przeszliśmy w dni kilka przez Kłodawę i dotarliśmy do miasteczka Koła, nad rzeką Wartą.

Koło, jak wiadomo, jest położone na wyspie, stworzonej przez dwie odnogi Warty i ma dwa mosty: jeden od strony Kłodawy zwodzony, drugi od strony Kalisza. Miejsce to z natury jest bardzo obronne i wygodne, wybraliśmy je dla wypoczynku i zabrania tymczasem języka o nieprzyjacielu. We dwa dni po naszym przybyciu do Koła odebraliśmy wiadomość, że generał Knoring, dowodzący szesnastu szwadronami jazdy pułków: kirasyerów, gwardyi podolskiej, konnopolców, huzarów gwardyi, dragonów, z baterią artyleryi konnej gwardyi, wysłany został z rozkazem rozprószczenia naszego oddziału. Generał ten, zawiadomiony zapewne dokładnie przez swoich szpiegów, o naszej sytuacji w Kole, miał, jak się zdaje, zamiar, zamiast nas rozprószyć, otoczyć i zabrać, jeśli się uda. W tym celu zajął on Kłodawę, aby nam przeciąć wszelką komunikację z Warszawą i postawić w tem groźnem położeniu: albo się mu poddać, albo wpaść w ręce posuwającym się przeważnym siłom Moskali, idących od Nieszawy.

Kiedy tak stały rzeczy, przybył do nas, do Koła, pułkownik Peszyński z czterema szwadronami Mazurów kaliskich. Pułkownik, przybyły z wielką fantazją, narobił wiele hałasu w małym miasteczku podkowami swych koni na bruku — ale też było to wszystko, niestety, co on był zdolny wykonać. Kiedy bowiem otrzymawszy taki posilek major Żandrowicz zrobił mu parę razy propozycję nocnej wyprawy na Moskali, siedzących spokojnie w Kłodawie, Peszyński, jako starszy w randze, czy ze strachu, czy z jakiej innej przyczyny, nie zgodził się na to, uważając to za awanturę hazardowną i niebezpieczną.

— Czekajmy ich tutaj — powtarzał z flegmą — a będą mądrzy, jeśli ten orzech zgryzą!

My tymczasem, nie zasypiając sprawy, odbywaliśmy codzień patrole, czyli zwiady, ku stronie Kłodawej, gdzie byli Moskałe i ku granicy pruskiej, pilnując, by ztamtąd nie mogły być przesyłane Moskałom żadnego rodzaju dowozy. Peszyński zaś paradował tylko, mając dużo oficerów bardzo przystojnych i pięknie ubranych, rad się popisywał przed nami, cośmy wyglądali przy nich jak kominiarze przy świetnych aktorach na scenie.

Żandrowicz, znudzony oczekiwaniem, i widząc, że nie otrzyma żadnej pomocy od Peszyńskiego, narażony się z nami, postanowił zrobić nocną wycieczkę, choćby na to tylko, aby przepłoszyć Knoringa, a jeśli się uda, w popłochu zabrać mu armaty. Ale Żandrowicz, żołnierz doświadczony, wiedział to dobrze, że Moskałe mają swoich szpiegów w Kole, więc, aby trop zmylić, rozgłosił w miasteczku, że my, z całym naszym oddziałem piechoty i jazdą, idziemy ku granicy pruskiej, co też istotnie wykonał napozór.

Dnia więc 3. września, jak mi się zdaje, wyszliśmy z Koła o godzinie 3. z południa, dążąc w stronę granicy pruskiej. Ale o milę drogi za miastem rzuciliśmy się przez pola w prawo ku stronie Kłodawy, a ztamtąd ku brzegom Warty, robiąc tym sposobem drogę dwa razy dłuższą, niż gdybyśmy szli wprost po szosie. Ten wybieg miał swój cel podwójny. Zostawiając szosę na stronie, unikaliśmy przyjęcia, jakie nas czekało niezawodnie z tej strony, z której Moskałe spodziewać się mogli napadu i gdzieby nas poczęstowano kartaczami, z niechybną stratą ludzi, a bez żadnej korzyści; idąc zaś w kierunku Warty i korzystając z nocnej ciemności, mogliśmy nieprzyjaciółom zająć z tyłu i z bagnem wpaść na nich w pierwszych godzinach bezpiecznego spoczynku.

Plan ten wykonany został co do joty. Przyszliś-  
my za dnia jeszcze do małego lasku, znajdującego się

22  
23

może o pół mili z tyłu od Kłodawy. Tam Żandrowicz postanowił czekać do godziny jedenastej w nocy, bo kiedy pół miasta spać już będzie, łatwiej nam przyjdzie wykonać projektowany atak na Moskali. — Dla zabezpieczenia się jednak od wszelkiej niespodzianki lub zdrady, rozstawiliśmy w ukryciu przednie nasze straże od strony miasteczka z rozkazem, iż jeśli kogo spostrzegą idącego ku nam z miasta, mają go zatrzymać i oddać pod egzamin majora; idących zaś do miasta również zatrzymać i nie puścić, aż kiedy my sami doń wejdziemy. Ta ostrożność była konieczną, aby kto wcześniej nie doniósł Moskałom o naszym pobycie w lesie.

W chwili, gdyśmy opuszczali Koło, Żandrowicz zawiadomił Peszyńskiego, ażeby się miał na ostrożności, albowiem był pewny, że skoro piechota opuści miasto, Knoring go odwiedzi.

— Nie miej strachu o mnie — odpowiedział mu, uśmiechając się Peszyński — ja wiem, jak zrobić fortecę z miasta; zwiode most, a wówczas nikogo lękać się nie będę.

Prawda, że mógł to uczynić, ale przecież nie zrobił. Wysłał on pluton Mazurów na zwiady o pół mili drogi w stronę Kłodawy, ale ten wrócił, nie dostrzegłszy nic podejrzanego. Nie zwiódł więc mostu, pewny, że go atakować nie będą. Pułkownik więc i oficerowie, rozebrani, ułożyli się spokojnie do odpoczynku po kwaterach, a żołnierze na rynku, nie rzuciwszy nawet ani jednej straży za mostem.

Tymczasem, gdy godzina wpół do jedenastej wybiła, myśmy ruszyli ciszką naprzód ze spuszczoną bronią, a jazda z grotami, zwróconymi do dołu, jakby kozacy bez proporców. O jedenastej punktum byliśmy w mieście; ale tu, ku naszemu zdziwieniu, nie znaleźliśmy ani żywej duszy, lud spał, a wojska nie

było żadnego. Żandrowicz zrozumiał natychmiast rzecz całą.

— Oni pewno poszli na Peszyńskiego do Koła; spieszmy tylko, a zajdziemy ich z tyłu pierwszej, nim wpadną do miasta.

I miał słuszność nasz major; ale właśnie w chwili, kiedyśmy przechodzili przez rynek, posłyszeliśmy wystrzał tuż obok nas w ulicy. Myśleliśmy naturalnie, że to byli Moskale ukryci. Oddział się więc zatrzymał i lekkie zamieszanie okazało się w szeregach. Lecz rzecz się wyjaśniła natychmiast; była to sprawka jednego z naszych wolontaryuszów, dziwnej i zagadkowej figury.

Kto on był — zostanie to na zawsze tajemnicą; to pewno tylko, że był to człowiek szczególnego rodzaju. Mały, krępy, może pięć stóp wysokości, twarz miał ciemną i nieprzyjemną. Oczy piwne były ciągle w ruchu, i nigdy wprost nie patrzyły przed siebie. Umiał on doskonale udawać chłopą, a przebrany w siermięgę — jak się to często zdarzało, gdy się nam ofiarował za szpiega — był rzeczywiście do niepoznania. Skoro nam doniesiono, że oddział Moskali, albo kozaków, pokazał się w jakiej stronie, zawsze z ochotą chodził na zwiady; ale też zawsze, gdyśmy przybyli na miejsce, Moskale pół godziny pierwszej ustąpili z placu, i nasze wyprawy i trudy były zawsze daremne.

Nie wyszedł on z nami z pod Modlina, ale się do nas przyłączył w drodze, jak powiedział, z patriotyzmu. Opowiadał, że był w korpusie Dwernickiego, i że tam był używany za szpiega; że razem z Dwernickim przeszedł był do Prus, z kąd jednak wrócił znowu do kraju, a słysząc o naszym zbliżaniu się pod Kalisz, chciał nam być użytecznym i dlatego przyłączył się do nas. Żandrowicz i inni uwierzyli mu na



słowo, ale ja miałem jakieś przecucie, że ten człowiek nie naszym, ale moskiewskim był szpiegiem, jak ów pamiętny Bernardyn z krzyżem na koniu, w obozie niegdyś Pułaskiego, co to udawał świętoszka, modlił się i żegnał wszystkich, a donosił Moskałom o najmniejszych zamiarach konfederatów.

Takim też być musiał i ów nasz przybysz z korpusu Dwernickiego. Niespokojny i rozdrażniony tą myślą podejrzenia, nie wytrzymałem, i kładąc mu rękę na ramieniu, a patrząc pilnie w biegające oczy, zapytałem go sucho i zwięźle:

— Dlaczegoś to wystrzelił, wiedząc, że była nakazana największa cichość i milczenie?

Nie zmieszał się szczywany urwisz na to pytanie:

— Strzeliłem do kozaka — odpowiedział — który uciekał z miasta.

Ale ja byłem przekonany, że to był sygnał, dany Moskałom, będącym w marszu za miastem, aby się mieli na ostrożności. Wszakże dla wielkiej mgły na polu, strzału tego posłyszeć zapewne nie mogli, bo w przeciwnym razie niezawodnie byłiby wysłali jakiś oddział kawaleryi na zwiady pod miasto. Na tem się rzecz skończyła.

Kiedyśmy wyszli na szosę, ślad świeżego tam przejścia jazdy był widoczny; gnój bowiem koński leżał kupami na drodze. To nas potwierdziło w tem mniemaniu, że Moskale poszli do Koła. Chociaż więc pocichu i ostrożnie, pospieszyliśmy za nimi żwawo. — Żandrowicz był pewny, że ich dogoni pierwej, niż oni wejdą przez most do miasta, co było koniecznym warunkiem, jeżeli, jak się spodziewać można było, Peszyński zaniedbał wszelkiej ostrożności i nie przypuszczając wcale tego, co miało miejsce, to jest: że roztropany Knoring o pół godziny przed wystąpieniem

z Kłodawy wysłał naprzód szwadron dragonów dla rozpatrzenia drogi.

My, jak mówiłem, postępowaliśmy przyspieszonym krokiem, rozmowa szła tylko w szeptach, a na drodze coraz to większy gnój koński spotykaliśmy. Około godziny 5-tej z rana mgła zaczęła coraz opadać i gnój stawał się coraz świeższy; widocznie byliśmy tuż tuż na śladach Moskali. Żandrowicz rozporządził natychmiast swe siły do boju: wysłał tyralierów na pole, rozciągające się po lewej stronie szosy, następnie 1-sza kompania strzelców rozwinęła się w linii po dwóch tylko ludzi w szeregu, sposobem angielskim, druga zaś kompania fizylierów, to jest moja, szła z tyłu w kolumnie ścieśnionej, czterech plutonów.

Około godziny wpół do szóstej, we mgle dobrze przerzedzonej, spostrzegliśmy wyraźnie, że po lewej stronie szosy rozsypano moskiewskich flankierów, tuż przy ich tylnej straży, do której podeszliśmy tak blisko, że krzyknąwszy, możnaby było łatwo głos usłyszeć; lecz że naszym tyralierom rozkaz do strzału nie był jeszcze wydany, milczenie więc panowało głębokie. Wtem z naszych szeregów wypadł strzał nagle, za nim drugi i trzeci; na to, jakby na hasło, tyraliery nasi dali też ognia, każdy do swego nieprzyjaciela przed okiem. Krzyk nastąpił pomiędzy Moskalami: piechota! piechota za nami w tyle! — i poszli galopem na najwyższe wzgórze, a w tejże chwili z dwóch armat, ustawionych na szosie, dano do nas ognia kartaczami. Ale go raz drugi nie mieli już czasu powtórzyć, bośmy już byli na działach. Kapitan Hubert dostał strzał kartaczowy w prawą rękę, ale szczęściem bez złamania kości, mięksiz tylko pod prawym łokciem był uszkodzony; ustąpił też zaraz w tył, by opatrzyć ranę, a jego miejsce zastąpił podporucznik

Zabielski. Kilku też żołnierzy było rannych, lecz żadnego nie widziałem zabitym. My, nie mając koni do wzięcia tych armat, zepchnęliśmy je do rowu, tuż obok szosy, ażeby choć koła połamać. Mówiono mi później, jakoby podporucznik Zabielski, dawny artylerzysta, miał je zagwoździć; ale jakimby on sposobem mógł to wykonać, pojąć nie mogłem, gdyż do tego żadnych nie mieliśmy przyrządów. Moskiewscy artylerzyści z przód-karami uszli na lewą stronę szosy, zdążając do kolumn jazdy, już uszykowanej do szarży.

Nasi tyralierzy strzelali do nich ciągle i ranili im kilku żołnierzy; my zaś byliśmy jeszcze na szosie, ale dla uniknięcia strzałów kartaczowych, zeszliliśmy na prawą stronę i udaliśmy się do małej wioseczki, mogącej nam służyć za wygodny bardzo punkt obrony przeciw napadom ich jazdy i strzałom armatnim. Nasza zaś jazda, pod komendą kapitana Witalskiego, idąc z tyłu za niemi, za pierwszym wystrzałem do nas kartaczami, opuściła plac bitwy i pod zasłoną małego lasku, przeszła ku stronie Warty bez szwanku. Kapitan Witalski wiedział dobrze, jak się ocalić, żaden też z nich nie zginął.

Około godziny siódmej Moskale zdecydowali się nakoniec przypuścić do nas szarżę i ruszyli z miejsca; ale, jak się powiedziało wyżej, my mieliśmy czas zejść na prawą stronę szosy, której nasyp zasłaniał nas doskonale i od kartaczów i od szarży kirasyerów, którzy się pierwsi ukazali przed nami. Daliśmy więc ognia do nich tuż z po za drogi, na którą oni dostać się nie mogli z powodu, że nasyp był zbyt wysoki i stromy. Poszli więc nazad, jak nie pyszni, przeprowadzeni naszymi strzałami, gdzie znowu się sformowali w kolumny do ataku, jak pierwej. Tymczasem zasłonięci nasypem szosy od artylerji, myśmy doszli do wioski, gdzie z za domów i płotów strzela-

liśmy czas jakiś do ich flankierów, którzy się zbliżali ku nam; ale gdy kilku z nich wypróżniło siodła, wrócili nazad do swoich. Artylerya ich tylko ciskała granaty na dachy stodół i domów, pokrytych, jak zwykle, słomą, ale bez żadnej szkody ani dla nas, ani dla budynków.

Skoro nasz zamiar pochycenia Moskali w kuble spelzł na niczem, głównem naszym teraz zadaniem było wrócić nazad do Koła, gdyż cała dywizya moskiewska, zebrana przed nami, pokazywała nam jasno, żeśmy przybyli wczas, aby im przeszkodzić zajęcia tego miasta. Po krótkiej naradzie Żandrowicz osądził, że jeśli spiesznym biegiem i ze spuszczoną bronią puścimy się wzdłuż wyniosłości szosy, ogień działowy i jazda nic nam zrobić nie mogą. Puściliśmy się tedy śmiało naprzód i rzeczywiście kartacze i granaty, odbijając się rekoszetem o szosę, przelatywały nam ponad głowami bez żadnej szkody; jazda zaś, po niefortunnych poprzednich próbach, nie śmiała już ruszyć z miejsca. Tak dopadliśmy szczęśliwie do przedmieścia Koła przed mostem.

Ja z moją kompanją byłem teraz na przodzie, major Żandrowicz był za nami. Gdyśmy się zbliżyli mniej niż sto kroków do roгатki na moście, dałem rozkaz mojej kompanii przyspieszyć kroku i zamknąć roгатkę; bom widział w tej chwili na pół mostu jazdę, spieszącą ku nam. Zamiarem moim było po zamknięciu szlagbauma, dać ognia do tego oddziału. Lecz w tymże samym momencie adjutant nasz, Żymański, usłyszawszy moją komendę, przyleciał do mnie z niezmierną furią, wołając:

— Co ty chcesz robić, strzelać do naszych, to są polskie szasery?

Ja mu odpowiedziałem spokojnie:

— Mylisz się, to są Moskale, którzy byli w Kole i wracają nazad.

Ale on, utrzymując swoje, opóźnił tym sposobem mój marsz o jedną minutę, a tymczasem Moskale w pełnym galopie przeszli przez roгатkę, a widząc naszą piechotę po środku i z lewej strony drogi, rzucili się na prawo od mostu. Wtenczas dopiero, gdy cały ich szwadron nas mijał, kazałem dać ognia. Kilku ich wprawdzie spadło z koni, musiało też być dużo rannych, bo odstęp nasz nie był większy nad ośmdziesiąt kroków, ale już było zapóźno. Żymański błęd swój spostrzegł, żałował zapewne, ale po czasie, ochronił bowiem tym sposobem cały szwadron moskiewski od niechybnej klęski, jaka go czekała. Ja bowiem w owej pierwszej chwili miałem dość czasu do sięgnięcia mostu przed dojściem Moskali do jego połowy i zamknąwszy szlagbaum, wystrzelać ich albo zmusić do złożenia broni. Wiedzieli oni dobrze, że cztery szwadrony Peszyńskiego, które uszły z miasta, jak to zobaczymy zaraz, mogły nazad powrócić, słysząc wystrzały armatnie i karabinowe. A o przejściu przez roгатkę, osadzoną moją kompanią, nie mogło być mowy. Ale cóż było robić? rzecz się stała, naprawić jej nie było sposobu.

Teraz dodam tu słów kilka o tem, co się stało w mieście podczas tej nocy... Peszyński, zostawił nie oględnie i bez żadnych czatów, most spacerowy od strony Kłodawy, a szwadron dragonów, wysłany przez Knoringa, dla rozpatrzenia i oczyszczenia drogi, wpadł bez trudności na spiących Mazurów wśród rynku... Pobudzeni przecież tętnem koni i szcękaniem pałaszy Maćki, porwali się na nogi, dopadli jak który mógł do koni i ruszyli co siły, bez swych oficerów za miasto... Oficerowie, rozlokowani, jak się mowiło, po kwaterach, zbudzeni ze snu, potrafili niektórzy cho-

ciaż bez ubioru i oklep ująć z miasta, a inni szukali ochrony gdzie mogli. Waleczny Peszyński, w jednej tylko koszuli ukrył się gdzieś w ogrodzie swojego mieszkania — i to była sprawiedliwa i zasłużona kara, za jego niedbałość; szczęściem jeszcze, że tego nie-przeplacił życiem... Jeden tylko podporucznik Gicki, śliczny, młody chłopiec, stracił życie w tej Zawierusze... Chociaż w koszuli tylko, dopadł on jak inni konia, ale tu schwycił go dragon — a że się poddać mu nie chciał, dobył z olstry pistolet i w pierś mu wypalił — biedny Gicki padł trupem na miejscu...

Gdyśmy weszli do miasta, Żandrowicz spodziewając się rychłego napadu, kazał natychmiast most podnieść... Ostrożność ta była na swoim miejscu. Knoring bowiem, aby się zemścić, po uprzątnięciu swoich rannych i uzbierawszy tu i ówdzie rozsianych trupów, czego miało być kilkanaście dobrze naładowanych wozów — uszykował na nowo swój oddział, i dawszy im odetchnąć, gotował się do ataku miasta... Nastąpiło to przecież nie prędzej, jak po dwu godzinach. Ustawiwszy swe działa na wygodnej pozycji, rozpoczął ogień do miasta, rzucając gęsto granaty i kule. Podziurawił on wprawdzie kilka domów, murowanych z cegły, ale żadnego nie zwałił i nikomu z nas nie przyczynił szkody. Po jakimś czasie, wysłany jeździec zbliżył się do mostu — ale widząc, że był zwiedzony i słysząc kule, co mu świstały około uszu, zwrócił konia i ruszył w galop ku swoim. Knoring, zważywszy nieużyteczność dalszego pokuszania się na miasto, ustąpił nazad ku Kłodawie.

W kilka dni po tych wypadkach, widząc, że nasz pobyt w Kole nie przyniesie żadnej korzyści dla sprawy narodowej, pociągnęliśmy brzegami Warty ku Częstochowej, gdzie we dwa tygodnie po opuszczeniu Koła straciliśmy kilkunastu ludzi na choleę, a między

nimi naszego naczelnika, majora Żandrowicza, za którym poszedł i adjutant Żymański. Kapitan Hubert, nie wyleczony jeszcze ze swej rany, odebranej pod Kołem, został odesłany do Krakowa, do swej rodziny, ja zostałem wybrany dowódcą całego oddziału przez oficerów i żołnierzy, i w tym stopniu odprowadziłem do grobu zmarłych kolegów, oddawszy im ostatnią cześć wojskową potrójnym wystrzałem całego oddziału na mogiłkach miasta Częstochowy.

Ten mój wybór na dowódcę był tem zaszczytniejszy dla mnie, iż dowodził zaufania, jakie moi towarzysze broni pokładali we mnie. Wszyscy też, bez żadnego wyjątku, byli gotowi iść za mną, gdzie tylko chciałybym ich prowadzić, bo wszyscy byli przekonani, że nigdy nie zejdem z drogi honoru i poświęcenia za Ojczyznę.

Aby się zbliżyć ku Warszawie i ku stronom, gdzie się ostatnie wojenne rozwijały działania, przeniósłem główną moją kwaterę do Kalisza. Tam znalazłem się znowu wobec Knoringa i jego dywizyi jazdy, z którą stoczyłem bitwę, trwającą jedenaście godzin, przy rogatce warszawskiej w Kaliszu, broniąc do upadłego Moskałom wstępu do miasta. Podczas tej potyczki Knoring przysyłał do mnie po kilka razy parlamentarza, ażebym broń złożył i oddał się na jego łaskę. Odrzuciłem, jak należało, te propozycje, choć silniejszego odemnie liczbą nieprzyjaciela, nie chcąc splamić się takim postępkim i aby raz na zawsze skończyć te niepotrzebne układy, powiedziałem ostatniemu parlamentarzowi, w przytomności moich oficerów: „że po trupie moim wejda do Kalisza, a nie prędzej“. Knoring, po znacznej stracie ze swej strony, musiał ustąpić na nocleg o trzy mile od Kalisza, a ja, dla braku ładunków, opuściłem Kalisz o 1-szej w nocy.

Ta potyczka była stoczona 11. września 1831 r., już po kapitulacyi Warszawy, co tłumaczy naleganie Knoringa, abym się zdał na łaskę. Miałem jeszcze dwie inne małe potyczki: pod Łaskiem i pod Zduńską Wolą i dopiero po wejściu Ramoriniego i Różyckiego do Galicyi, ja byłem ostatni, com przeszedł granice Polski, 14. października pod Bobsem, do Oświęcimia.





## SPIS RZECZY.

---

- I. Zkąd pochodzę i gdzie się urodziłem? — Wychowanie i nauki. — Przyjazd do Warszawy. — Karyera cywilna. — Wstąpienie do wojska. — Przyjęcie w pałacu Brylowskim przez W. księcia. — Pułk 4-ty piechoty. — Pierwszy mundur. — Sierżant Sopoćko. — Ćwiczenia wojskowe. — Pierwszy krok w służbie i pierwsze spotkanie się z W. księciem. — Wejście do obozu. — Szkoła pływaków . . . 3 do 17
- II. Przeddzień rewolucji 1830 r. — Nowy kolega w pułku, Stanisław R\*\*. — Przyjaźń i poświęcenie. — Szpiegostwo szerzące się w Warszawie. — Przylepianie po ulicach paszkwiłów. — Podejrzenia wojskowe. — Poszukiwania w koszarach. — Generał Roźniecki i podpułkownik Reszka. — Awanturka w kawiarni Kamińskiej. — Moje życie w koszarach. — Dzień 29. Listopada. — Obluz warty na Saskim placu. — Ostatnia parada 4-go pułku. — Warta przy rogatce Belwederskiej i co tam zaszło tej pamiętnej nocy. — Ostatnia przejażdżka W. księcia. — Mój sąd o nim. — Alarm. — Gresser i Bezobrazow, adjutanci W. księcia. — Daremne pokuszania się na moją załogę. — Przejazd Bezobrazowa. 18 do 32

- III. Moja nieświadomość o gotującym się wybuchu. — Powody ku temu. — Moja pozycja w pułku. — Podpułkownik Reszka. — Pierwsze wystrzały w Łazienkach i w Belwederze. — Oddział kirasyerów przed roгатką. — Przyjęcie. — Raport weterana. — Pułk huzarów grodzieńskich i jego starcie się przy Wiejskiej Kawie z podchorążymi. — 30 Listopada. — Ściąganie wojska przez W. księcia. — Przybycie artylerii. — Oddział 6-go pułku piechoty przysłany z obozu W. księcia. — Odprawa przybyłych. — Rabunek kasy . . . . . 33 do 43
- IV. Zamach na moje życie. — Hekkerkunst i jego dziwna historia. — Powód do nienawiści ku mnie. — Jego zamach poprzedni. — Jaki był koniec tego wypadku. — Powrót do miasta. — Radośne przyjęcie naszego oddziału. — Moje smutne położenie w koszarach. — Ratunek przyjacielski. . . . . 44 do 53
- V. Sławna kawiarnia Honoratki. — Zkąd to nazwisko? — Kto była właścicielka tego zakładu? . . . . . 54 do 57
- VI. Wyprawa na grangardę generała Rozena. — Historia z pieczonem kurczęciem. — Zakrzew i Dobre. — Moskale pobici. — Pierwsza rana i pierwsze trudy wojenne. — Rozprawa nad Jasionką. — Przybycie na pola grochowskie. . . . . 58 do 70
- VII. Trzydniowa bitwa pod Grochowem. — Pierwsza noc w Olszyncy. — Bitwa pod Wawrem. — Powrót naszych dywizyj na dawne pozycje. — Oczekiwanie. — Dziwna śmierć Grabskiego. — Ciągłe trwogi tej nocy. — Szewc Suliński i jego cudowne buty. — Zmiłowanie Boskie. — Niespodziany posiłek po trzydniowym głodzie. . . . . 71 do 79
- VIII. Drugi dzień bitwy pod Grochowem. — Usiłowania Dybicza do wyparcia nas z lasku Olszynowego. — Atak na całą linię. — Wielkie straty ze strony Moskali. — Zawieszenie broni. — Zbliżanie się korpusu Szachow-

- skiego. — Spotkanie się jego z naszymi pod Białotką. — Małachowski i Jankowski. — Odwrót Jankowskiego. — Przybycie dywizji Krukowieckiego. — Odwrót Szachowskiego przez Kąty Grodzkie. — Przygotowania do walnej bitwy pod Grochowem. 80 do 88
- IX. 25. lutego. — Ostatni dzień bitwy pod Grochowem i ostatnie pokuszenie się Dybicza na Olszynkę. — Szarża Chłopickiego. — Generał Łubieński odmawia przyjść w pomoc. — Chłopicki ranny. — Zajęcie Olszyny przez Moskali po krwawym, pięciogodzinnym boju. — Atak artylerii rosyjskiej i szarża całej ich kawaleryi. — Prawe skrzydło polskie rozbite. — Środek i lewe skrzydło stawia niezłomny opór. — Pole bitwy zostaje przy nas. — Nocny odwrót do Warszawy. 89 do 97
- X. Warszawa po bitwie Grochowskiej. — Mój powrót. — Dziwne spotkanie. — Awans i krzyż „virtuti militari”. — Komenda grzebania trupów pod Grochowem. — Moskale na przedniej straży. . . . . 98 do 101
- XI. Bitwa pod Wielkimi Dębami. — Wyprawa nocna na obóz moskiewski pod Wawrem. — Moja komenda tyralierów 4-go pułku. — Częstunek Moskali na folwarku Buda Nowina. — Kapitan artylerii Nieprzecki i przybycie sześciu wolontaryuszów z Warszawy. — Baron Lewartowski i jego dziwna propozycja. — Zasadzka Moskali u mostu. — Opieka Opatrzności. — Wzięcie dwóch dział. — Sygnał odboju. — Nieposłuszeństwo moje. — Kapitan Dziewicki i zajęcie baterii moskiewskiej. — Cztery armaty i siedm jaszczyków dostają się w nasze ręce. — Wygrana. — Mój udział w tej potrzebie . . . 102 do 118
- XII. Śmierć Dybicza. — Paszkiewicz przyjmuje naczelne dowództwo. — Jego przeprawa przez Wisłę pod Nieszawą. — Wyprawa partyzancka w Kaliskie. — Nasza organizacja. —

	Strona
Przybycie do Koła. — Pułkownik Peszyński ze swym oddziałem Mazurów. — Wyprowadzenie nocna na Knoringa do Kłodawy. — Niespodzianka. — Nasza pogoń za Knoringiem. — Potyczka pod Kołem. — Niefortunne powodzenie Peszyńskiego. — Powrót do Koła. — Śmierć Żandrowicza i Żymańskiego. — Moje dowództwo. — Kapitulacja Warszawy. — Potyczka pod Kaliszem i wejście do Galicji . . . . .	119 do 133



